

Rok XXIV

Nr e-7 (241)

Lipiec 2010

# NA SZLAKU

Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego





## Górski Dom Turysty „Na Ślęży” Oddziału Wrocławskiego PTTK

### ZAPRASZA

**Adres: 55-050 Sobótka (woj. dolnośląskie), tel. 713426142**

Ślęza (718 m n.p.m.) to najwyższy szczyt Masywu Ślęży, wznoszący się 500 m nad otaczającą go Równiną Wrocławską i Równiną Świdnicką. Prowadzą



nań atrakcyjne szlaki piesze i rowerowe, m.in. z Wrocławia, Dzierżoniowa i Świdnicy. W Ślęzańskim Parku Krajobrazowym znajdują trzy rezerваты przyrody, prehistoryczne wały kultowe i celtyckie rzeźby. Obiekt zapewnia cały rok nocleg dla 24 osób i pełne wyżywienie.

# NA SZLAKU

## Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego

### SPIS TREŚCI

#### *Z naszego regionu*

Szlak Starej Wody (6) .....	<i>Wojciech Tumidajewicz</i> .....	4
Kaskady Nowinki .....	<i>Bartosz Skowroński</i> .....	5
Powietrzna bitwa nad Andrychowem .....	<i>Zbigniew Kubień</i> .....	6
Wrocławskie pomniki Św. Jana Nepomucena .....	<i>Anna Oryńska</i> .....	9
Z zielnika Rostafińskiego (18) .....		10

#### *Ojczyste szlaki*

Łeba – cel wakacji .....	<i>Katarzyna Rowińska</i> .....	11
Wigierski Park Narodowy .....		13
Zwiedzamy Warmię (1) .....	<i>Marcin Husak</i> .....	14
Świętokrzyski Park Narodowy .....		15

#### *Trasa miesiąca*

Pieszka wycieczka po Żmigrodzie .....	<i>Franciszek Rzeško</i> .....	16
---------------------------------------	--------------------------------	----

#### *Globtroter*

Czeski Raj .....	<i>Krzysztof Tęcza</i> .....	19
Tajga Uralu (3) .....	<i>Janusz Fuksa</i> .....	21

#### *Z turystycznych kręgów*

Rusza rowerowy GPS w Kotlinie Jeleniogórskiej .....	<i>Krzysztof Pik</i> .....	23
Jak widzą Kraków w Europie .....	<i>Aleksander Miszański</i> .....	24

#### *Ekologia na szlaku*

Kolejny krok „Czarnego” .....	<i>Jacek Jakubiec</i> .....	25
-------------------------------	-----------------------------	----

#### *Poradnik turysty*

Z dobytkiem na plecach .....	<i>Juliusz Wystouch</i> .....	26
------------------------------	-------------------------------	----

#### *Na kolekcjonerskim szlaku*

Przechowywanie i koserwacja znaczków metalowych ....	<i>H.P.</i> .....	28
Kościół obronny okolic Wrocławia (7) .....	<i>Jerzy Maciejewski</i> .....	29

#### *Sylwetki „Na Szlaku”*

Czesław Piskorski w kręgu krajoznawców .....	<i>Krzysztof R. Mazurski</i> .....	30
Tatrzański Park Narodowy .....		32

#### *U kresu wędrówki*

Pożegnanie Andrzeja Scheera .....	<i>Krzysztof Tęcza</i> .....	33
-----------------------------------	------------------------------	----

#### *Listy, opinie, dyskusje*

„Elwro” we wspomnieniu .....	<i>Janusz Zaremba</i> .....	35
OKP stopień brązowy – Szczecin .....	<i>Krzysztof Tęcza</i> .....	36
Z zielnika Rostafińskiego (19) .....		38

**Na okładce: Bazylika w Wambierzycach na tle Szczelińca Wielkiego w Górach Stołowych.**

*Fot. Piotr Dacko*

Wojciech Tumidajewicz

## Szlak Starej Wody po Starym Zdroju w Wałbrzychu (6) – Karczma z browarem przy ul. Pocztowej 1

**D**okładana data wybudowania tego obiektu nie jest znana. Przepuszczalnie budynek został wzniesiony w końcu XVIII lub w pierwszym ćwierćwieczu XIX w. w czasie, gdy uzdrowisko Stary Zdrój było znane w całej Europie. Pierwotnie najprawdopodobniej przeznaczony był on na pensjonat, o czym może przemawiać lokalizacja obiektu w sercu byłego uzdrowiska oraz układ funkcjonalny pomieszczeń i lokali mieszkalnych, stosowany w architekturze uzdrowiskowej. Być może, sposób użytkowania zmienił się już w drugiej połowie XIX w., kiedy w Starym Zdroju zanikły lecznicze źródła na skutek działalności górniczej w tym rejonie. O tym, że budynek był karczmą z browarem, którego właścicielem był niejaki Mulles, mówi wzmianka z 1925 r., umieszczona w książce opisującej Wałbrzych w tamtych latach. Po 1945 r. użytkowany był przez Centralne Warsztaty Koksownicze w Wałbrzychu jako hotel pracowniczy. Przypuszcza się, że w trakcie prac adaptacyjnych z tamtego okresu elewacje zostały pozbawione większości detali architektonicznych. W latach 60. XX w. miał miejsce remont kapitalny, w ramach którego dokonano zmian wewnątrz budynku. Jednak brak jest dokumentacji technicznej prowadzonych prac budowlanych. Jedynie z informacji mieszkańców budynku można określić zakres prac remontowych, polegających na pokryciu dolnej połaci dachu mansardowego blachą ocynkowaną. Pozostałe połacie miały przełożone dachówki. Ponadto zmieniono częściowo układ wnętrza przez wybudowanie ścianek działowych do mieszkań i sieni głównej.



**Budynek w latach 20. XX w. Fot. [www.wroclaw.hydral.com.pl](http://www.wroclaw.hydral.com.pl)**



**Budynek na początku 2010 r. Fot. T. Rupociński**

Część okien zamurowano oraz wymieniono stolarkę drzwi zewnętrznych i wewnętrznych. Tylko w oknach przyziemia elewacji tylnej zachowała się XIX-wieczna stolarka okienna oraz stolarskie dekoracje schodów. Budynek jest częściowo podpiwniczony, dwukondygnacyjny z dachem mansardowym typu francuskiego, częściowo pokrytym blachą ocynkowaną. Dach posiada naczółki. W chwili obecnej stan budynku określa się jako średni, a właścicielami budynku są lokatorzy, którzy wykupili mieszkania od poprzedniego właściciela. Budynek, położony przy ul. Pocztowej 1, został wpisany do rejestru zabytków nr rej. 705/1613/WŁ z dn. 29.01.1998 r.

## Kaskady Nowinki – zapomniane wodospady Masywu Śnieżnika

**W**odospad Wilczki w Międzygórzu jest doskonale znany turystom odwiedzającym Masyw Śnieżnika. Nie jest to jednak jedyny wodospad po polskiej stronie tego pasma. Nieopodal Międzygórza, na Nowince, potoku przepływającym przez Nową Wieś, znajduje się bowiem zespół niewielkich, choć niezwykle malowniczych wodospadów, zwanych przed 1945 r. Neudorfer Wasserfällen lub Neundorfer Wasserfällen.

Wodospady Nowinki znajdują się w górnej części doliny tego potoku. Literatura lokalizuje je na wysokości około 900-950 m n.p.m. W terenie trudno jednak, szczególnie bez dobrej mapy, ustalić te wysokości. Kaskad szukać trzeba pomiędzy szerokim duktem, łączącym doliny Nowinki i Goworówki, a innym duktem trawersującym zbocza Goworka i Wysoczki – wybitnych szczytów Masywu Śnieżnika. Samo dotarcie w ten rejon od strony Nowej Wsi nie jest łatwe. Do kaskad nie wiedzie bowiem z wioski żaden szlak turystyczny. Jedynymi drogowskazami dla turysty wędrującego z Nowej Wsi mogą być tablice kierunkowe „Drogi Pożarowej 10”. Jednak i one nie doprowadzą ostatecznie do celu. Wspomniana droga pożarowa dla piechura, pragnącego zobaczyć kaskady, kończy się bowiem na mostku nad Nowinką, położonym na wysokości około 810 m n.p.m., przy którym stoi rzucający się w oczy niewielki krzyż. Dotąd dotrze bez trudu nawet mniej doświadczony turysta. Dalsza droga jest o wiele bardziej męcząca. Wymaga dobrej kondycji. Na mapach, także topograficznych, wzdłuż potoku od wspomnianego mostku zaznaczana jest ścieżka.

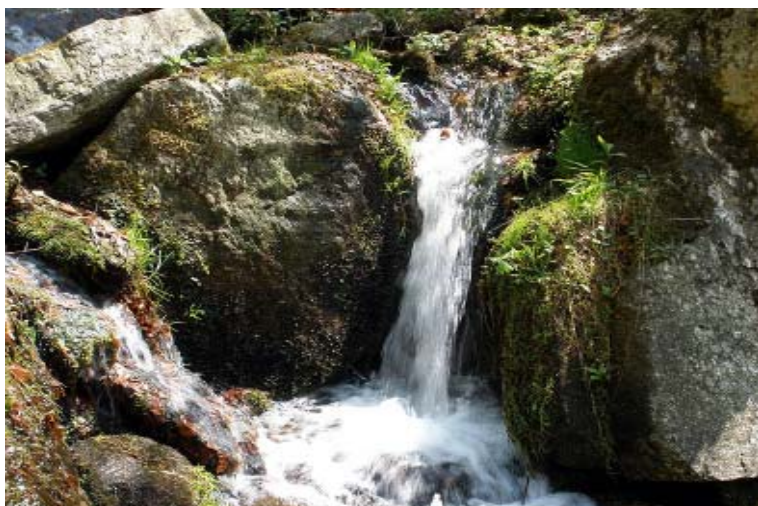
W praktyce trudno się jej dopatrzyć. Droga do wodospadów wiedzie po sporych, niekiedy śliskich i ruchomych głazach. Miejscami jest grząsko. Trzeba uważać. Kto jednak dotrze na miejsce, na pewno nie będzie żałował. Trudy wędrowki wynagrodzi bowiem widok wodospadów. Choć liczą one zaledwie do kilku metrów wysokości, są niezwykle malownicze. Na zboczach doliny wyrasta sporo okazałych rozmiarów skałek. Okolica jest odludna. Spotkanie tu turysty to niecodzienny widok. Zupełnie inaczej niż w rejonie Wodospadu Wilczki. Ma to swoje uroki.

Wodospady te nie są jedynymi w okolicy Nowej Wsi. Inny, choć chyba jeszcze mniej znany, ciąg kaskad odnajdziemy na bezimiennym dopływie Nowinki, który przyjmuje ona powyżej górnych zabudowań wspomnianej wioski. Na niektórych mapach kaskady te oznaczane są jako Kaskady Nowinki. Dotarcie do nich, mimo że leżą bliżej zabudowań, również nie jest łatwe. Dukt prowadzący wzdłuż potoku miejscami „zanika”. Nawet w słoneczne dni odcinkami jest on grząski. Wędrując nim dobrze trzeba się napatrzyć pod nogi. Małych wodospadów należy szukać na całej długości wspomnianego potoku. Niektóre widać bezpośrednio ze wspomnianego duktu, do innych trzeba się trochę przedzierać przez zarośla, często po śliskich głazach. Kaskady te również nie robią wrażenia, jeśli chodzi o ich wysokość. Są jednak warte zobaczenia.

Zaznaczyć trzeba, że odwiedzenie jednych i drugich kaskad to propozycja nie dla każdego. Odradzam wybieranie się w ten rejon osobom z małymi dziećmi, jak również osobom bez dobrej kondycji i, co ważne, odpowiedniego obuwia.



**Kaskada na Nowince**



**Kaskada na dopływie Nowinki**

Niemniej każdy może odwiedzić Nową Wieś. Leżący w jej sercu kościół, z daleka widoczny, uznawany jest za drugi co do wielkości na Ziemi Kłodzkiej. Warto więc choćby dla niego zawitać w te strony. Do Nowej Wsi docierają PKS-y, którymi dojedziemy niemal pod samą świątynię. Kursują jednak bardzo rzadko. Dużo lepszym rozwiązaniem jest dojazd do Domaszkowa (autobus lub pociąg) i dalej piesza wędrówka, w trakcie której przy dobrej pogodzie mamy zapewnione niezapomniane widoki Masywu Śnieżnika.

*Zbigniew Kubień*

**CZARNA ŚRODA BIAŁYCH GWIAZD NAD ŚLĄSKIEM 1944**

## **POWIETRZNA BITWA NAD ANDRYCHOWEM**

Chyba miałem to szczęście, że urodziłem się bez telewizora, komórki i komputera, a ludzie dużo ze sobą rozmawiali. Byli cierpliwi i mieli spory dar opowiadania. Wystarczyło tylko dobrze się przysłuchać, a zawsze znalazło się coś ciekawego dla siebie. Tak zrodziła się moja lotnicza pasja trwająca do dzisiejszego dnia. Oto ta barwna opowieść.

Gdy byłem jeszcze dzieckiem, wielokrotnie słyszałem od moich rodziców i znajomych o niezwykłych wydarzeniach lotniczych nad Śląskiem, Kotliną Oświęcimską, Andrychowem i Beskidami. Niestety, były to raczej ogólne i upłynęło kilka dziesięcioleci, gdy wreszcie mogę podzielić się – z trudem zdobytą wiedzą – z Czytelnikami. Aby łatwiej zrozumieć, skąd wzięło się lotnictwo amerykańskie nad Śląskiem i w rejonie Oświęcimia w latach 1944-45, warto przytoczyć cytaty ze świetnej książki moich przyjaciół. To prekursorska praca, godna przeczytania. Autorzy – Szymon Serwatka, Michał Mucha, Peter Kaššák. Tytuł – *Z ZIEMI WŁOSKIEJ DO POLSKIEJ*, str.7:

- „Jednym z tych zapomnianych rozdziałów II Wojny Światowej są bombardowania obiektów przemysłowych III Rzeszy na Śląsku przez Latające Fortece oraz Liberatory amerykańskich sił powietrznych (...). Dziwnym zrządzeniem losu naloty na Śląsk nie stały się tematem książek czy opracowań historycznych”.

Kiedyś sięgnąłem po książkę Andrzeja Zwolińskiego „Miasto Ankwiczów. Z dziejów Andrychowa”, str. 111-112. Autorką tych – cennych dla sprawy – słów jest znana i wielce zasłużona nauczycielka, dyrektorka szkoły żeńskiej w Andrychowie od 1930 do 1951 – Wiktoria Dalewska.

- „Już od września 1944 r. w Andrychowie były ogłaszane alarmy lotnicze w związku z nalotami samolotów alianckich. 13 września można było w mieście obserwować walkę samolotów angielskich z niemieckimi. W czasie tej walki wiele kul podziurawiło dachy domów na ulicy Garncarskiej”.

Czytelnikom należy się małe wyjaśnienie: otóż w powietrznej walce uczestniczyły amerykańskie myśliwce (a nie angielskie), które przyleciały nad Andrychów ze swoich baz we Włoszech jako ochrona myśliwska amerykańskich bombowców wykonujących swoje niezwykle trudne misje bombowe na śląskie zakłady chemiczne produkujące benzynę syntetyczną, która była krwioobiegiem hitlerowskiej maszyny wojennej. Dobrze o tym wiedzieli alianci, którzy z taką determinacją i zaciętością wykonywali swoje misje bombowe. Często z nich nie wracali... Wiele lat później wpadło mi w ręce zdjęcie niemieckiego samolotu typu Bf-109G po awaryjnym lądowaniu w Bulowicach! Okazało się, że wykonał je andrychowianin Jerzy Małecki. Pokazałem Krzysztofowi Wójtowiczowi z Bulowic, który

potwierdził teren z fotografią. Mało tego! Okazało się, że jego sąsiadka była świadkiem tego niezwykłego przyziemienia!

Minęło wiele lat, gdy w Nowym Targu poznałem wspaniałych fascynatów lotnictwa o naukowym zacięciu. Byli to m.in. Krzysztof Wielgus, Michał Mucha, Szymon Serwatka, Jerzy Boć, Andrzej Olejko, Mariusz Konarski. W 2002 r. podczas konferencji naukowej miałem i ja okazję wygłosić krótki odczyt pt.: „Lotnicze tradycje i ślady na Ziemi Andrychowskiej”. Materialnym śladem konferencji jest spora publikacja „Lotnicza historia, archeologia i tradycja miejsca”, Nowy Targ 2002. Autorami opracowania są właśnie uczestnicy nowotarskiej konferencji. Teraz poszukiwania szczegółów lotniczego starcia nad Andrychowem nabrały ogromnego przyśpieszenia. W niemieckim czasopiśmie lotniczym JET&PROP 2/03 ukazała się notatka dot. Bf-109 z Bulowic wraz ze zdjęciem uziemionej maszyny. Niestety, nie było żadnego odzewu na opublikowany materiał. Ale – poszukiwania nadal intensywnie trwały. Do wyjaśnienia lotniczej zagadki przyłączył się słowacki naukowiec, świetny znawca historii lotnictwa, zwłaszcza – wydarzeń rozgrywających się nad Śląskiem i Andrychowem w 1944 r.! Pewnego dnia dotarły do mnie sensacyjne informacje, którymi pragnę podzielić się z moimi Czytelnikami. Oto wreszcie poznałem nazwiska czterech pilotów biorących udział w powietrznym starciu 13 września 1944 roku nad Andrychowem! Strona niemiecka jest lepiej przygotowana pod kątem merytorycznym; poznaliśmy bowiem numery seryjne maszyn, a to, jak u człowieka – poznanie jego linii papilarnych! Zacytuję fragment cennego listu od Michała Muchy z 16.08.2006 r.:

Wg „Der Jagdgeschwader 52” **Bf 109G-6 W.Nr.441665** oznaczony **białą trójką** został zestrzelony 12 września 1944 roku. Pilot, **Uff. Albert Krieger z 3./JG52**, został ranny podczas przymusowego lądowania w okolicy **Oświęcimia** (27 kilometrów na południowy wschód od Katowic). Strata była wynikiem walki z bombowcami B-17.

Co ciekawe, 12 września **15<sup>th</sup> Air Force** nie była aktywna. Co więcej, **I/JG52** (w jej skład wchodziła **3./JG52**) nie wykonywała tego dnia lotów bojowych, bo brała udział w przelocie na nowe lotnisko. Wydaje się, zatem, że mamy do czynienia z błędem i do zestrzelenia białej trójki doszło **13 września 1944 roku**. W tym czasie poszczególne elementy JG52 znajdowały się na następujących lotniskach: **Stab/JG52 – Kraków, I/JG52 – Budak (?)** oraz **III/JG52 – Warzyn (?)**.

JG52 nie miał na wyposażeniu innych samolotów niż **Messerschmitt Bf 109**.

Zanim zacznę na nie odpowiadać przekażę najnowsze informacje dotyczące strat Luftwaffe w okolicy Andrychowa we wrześniu 1944 roku. Niemiecki historyk JG52 – **Bernd-Dieter Barbas** – napisał, co następuje w e-mailu do mnie z 27 lipca: 12.09.44 – 2.Staffel – **ObGefr Karl-Dietrich Schmidt** – ranny – zestrzelony w wyniku walki z B-17 – pilot wyskoczył na spadochronie – rejon Oświęcimia – **Bf 109G-6 W.Nr. 441610 – biała 11**. Wydaje się, że podobnie jak w przypadku białej 3 doszło do przekłamania w dokumentach. 12 września nie było w okolicy Oświęcimia bombowców USAAF. Chodzi zatem najprawdopodobniej o 13 września.

Pan Barbas podaje także jeszcze jedną stratę JG52 w okolicy Oświęcimia. Ponoć 10 września 1944 roku zaginał tam pilot Bf 109G/U4. Brak jakichkolwiek szczegółów. JG52 miała lotniska w rejonie Radłowa (na wschód od Krakowa). Latem 1944 jednostka stacjonowała w okolicy Baranowa na południe od Kielc. Podczas października i listopada została przeniesiona do Prus Wschodnich.

Historia **31<sup>th</sup> Fighter Group** tak opisuje zwycięstwa odniesione 13 września 1944 roku: Z powodu problemów z instalacją tlenową **Lt. Shelton** musiał zawrócić wcześniej. Jako eskorta pozostał z



**Uszkodzony Messerschmitt Bf 109G-6 W. Nr 441665 („biała trójka”) po przymusowym lądowaniu w Bulowicach, 13.09.1944 r. Pilot plut. Albert Krieger, 3./JG52. Fot. Jerzy Małecki**



**Messerschmitt Bf109G-6 W. Nr 441665 9 („biała trójka”) na froncie wschodnim.  
Rys. Peter Kaššák**

nim **Lt. Naumann**. Wracając razem napotkali dwa niemieckie myśliwce: FW 190 oraz Bf 109. Oba zostały zestrzelone. Lt. Shelton zapisał na swoje konto FW 190. Lt. Naumann – Bf 109.

Wg Petera Kassaka: porucznik Naumann z Dywizjonu 308 zestrzelił o 11.30 Bf 109 5 mil na północny-wschód od Oświęcimia. W tej samej okolicy zwycięstwo nad FW 190 zgłosił porucznik Shelton. Dane pilotów wg oficjalnej listy zwycięstw USAAF: **1<sup>st</sup> Lt. Hugh D. Naumann** oraz **1<sup>st</sup> Lt. William E. Shelton**.

Co ciekawe, skrupulatni Niemcy we wszystkich publikacjach upierają się przy dacie wydarzenia – 12.09.1944 r.! Jak wiadomo – powietrzne starcie miało miejsce 13.09.1944 r. Strona niemiecka podaje, że utraciła „białą trójkę” i „białą jedenastkę” w wyniku walki z latającymi Fortecami typu B-17. Jak wiadomo, dwa myśliwce niemieckie typu Bf-109G zostały strącone przez dwa myśliwce amerykańskie typu Mustang P-51D, czego świadkami byli liczni mieszkańcy Andrychowa i okolic. Wszystko to wymaga jeszcze skrupulatnego wyjaśnienia. Również i Amerykanie nie są bez winy, gdyż – w ferworze walki – pomylili niemiecki samolot myśliwski Bf-109 z Fw-190! Znajomość terenu przez pilotów amerykańskich była niewielka, stąd istniejące rozbieżności w umiejscowieniu zestrzelonych niemieckich samolotów – biała „11” spadła prawdopodobnie w rejonie wsi Wieprz, Frydrychowice, Inwałd. Prawdziwa walka myśliwców trwała kilkadziesiąt sekund, no – może kilka minut. Aż 65 lat trwa próba wyjaśnienia tego bardzo ciekawego wydarzenia lotniczego! Być może, tak się w końcu stanie, ale na razie jest to tylko pierwsza próba wypełnienia kolejnej lotniczej białej plamy ostatniej wojny.

Na koniec odniosę się do tytułu mojego artykułu. Nie bez powodu datę 13.09.1944 r. nazwałem czarną środą lotnictwa amerykańskiego. Wg cytowanej wcześniej książki Szymona Serwatki i Michała Muchy tego właśnie dnia Amerykanie utracili 30 maszyn – myśliwców i bombowców. Do dziś nieznane jest miejsce upadku wielu samolotów, a na godny pochówek czekają szczątki lotników z ostatniego lotu. Szukajmy więc dalej! Tego feralnego dnia 15. Armia Lotnicza odniosła tylko dwa zwycięstwa w powietrzu. Straciła 2 Bf-109G; obydwaj piloci przeżyli to starcie. Jak potoczyły się ich losy?

**PS.** Próby odtworzenia historii lotniczego starcia nad Andrychowem byłyby niemożliwe, gdyby nie bezinteresowna pomoc wielu osób, wśród których pragnę wymienić: Michał Mucha – Poznań, Szymon Serwatka – Warszawa, Jerzy Boć – Niemcy, Peter Kaššák – Słowacja, Krzysztof Wójtowicz – Bulowice, Wiesław Bączkowski – Warszawa.

Niniejszy artykuł dedykuję moim Rodzicom, którzy nauczyli mnie nie tylko pewnie stąpać po ziemi, ale i – pokochać lotnictwo!

# WROCLAWSKIE POMNIKI ŚW. JANA NEPOMUCENA OREŻEM KONTREFORMACJI

**F**igury św. Jana Nepomucena są charakterystycznym elementem śląskiego pejzażu i przestrzeni kulturowej Wrocławia. W latach 1723-1732 powstały w nim aż trzy jego pomniki. W 1393 r. Jan z Pomuka – kanonik praski i wikariusz generalny biskupa Pragi, zamieszany został w konflikt pomiędzy królem Wacławem IV i arcybiskupem praskim Janem z Jenzensteinu. Źródłem sporu były królewskie plany utworzenia nowego biskupstwa kosztem arcybiskupstwa praskiego. Stanowczy sprzeciw Jana z Jenzensteinu tak rozgniewał króla, że nakazał go aresztować. Arcybiskup, osłaniany przez dworzan, zbiegł, ale aresztowani zostali, uwięzieni i torturowani jego współpracownicy, m. in. Jan Nepomucen. Uwięzionych wkrótce uwolniono, lecz Jana z rozkazu królewskiego utopiono w Wełtawie. Tyle wiemy z historii. Wydarzenia te z czasem obrosły legendą. Według niej Jan Nepomucen był spowiednikiem królowej Joanny (w innych wersjach Zofii) i wbrew żądaniom zazdrosnego króla nie chciał wyjawiać grzechów jego małżonki, co stało się przyczyną śmierci spowiednika. Kult św. Jana Nepomucena szerzyli jezuita, pragnąc przyćmić żywą pamięć o Janie Husie i traktując go jako narzędzie rekatołicyzacji Śląska. Sympatię wśród szerokich warstw społecznych w absolutystycznej monarchii habsburskiej budził nowy święty także jako symbol oporu wobec władzy świeckiej.

„Specjalnością” świętego, beatyfikowanego w 1721 r. i kanonizowanego w 1729 r., była ochrona wiernych przed powodzią i ratowanie tonących, pilnowanie źródeł i studni przed wysychaniem, patronat nad podróźnym i ochrona przed pomówieniem. Jako obrońca spowiedzi i jej indywidualnego charakteru w intencji jezuitów święty ten stanowił akcent polemiczny z protestantami. W ikonografii przedstawiany jest w stroju jezuita (choć żył dwieście lat przed powstaniem tego zakonu): w czarnej sutannie z białą, ozdobioną koronką komżą, w birecie kanonika na głowie oraz ze stulą – jako spowiednik – na szyi. Jego atrybutami są także adorowany krzyż trzymany w ramionach, palma męczeństwa, kłódka i palec na ustach oraz pięć gwiazd nad głową, które miały pojawić się na powierzchni rzeki w miejscu jego utonięcia. Pięć gwiazd bywa powiązanych z pięcioma literami: TACUI, czyli MILCZAŁEM. Kult świętego przybrał osobliwe formy: 16 maja w praskim kościele św. Jana Nepomucena odbywało się Święto Pokazywania Języka – publiczna prezentacja relikwiarza z rzekomym językiem świętego. Kult ten narodził się w 1719 r., gdy podczas ekshumacji jego ciała stwierdzono, że zachowany strzęp materii organicznej to język świętego. Jego przejawem jest m.in. umieszczona w ołtarzu św. Jana Nepomucena w kościele pocysterskim w Henrykowie rzeźba przedstawiająca półmetry język w glorii promieni.

Najokazalszy pomnik świętego stanął w latach 1730-1732 u zbiegu pięciu uliczek przed kościołem św. Krzyża i św. Bartłomieja na Ostrowie Tumskim. Jest to wybitne dzieło sztuki barokowej: projektował je biskupi architekt Krzysztof Tausch, rzeźbili Jan Jerzy Urbański i Jan Albrecht Siegwitz. Na wysokim cokole wspartym przez anielskich atlantów ukazany jest święty w nietypowej, bardzo dynamicznej pozie: wznosi on wysoko w górę krzyż zamiast trzymać go troskliwie przed sobą. To niezgodne z tradycyjną ikonografią przedstawienie świętego wyjaśnia inskrypcja, która w przekładzie z łaciny brzmi:

*Panu Najlepszeemu i Najwyższemu/ta wyspa Janowa/te kamienną, widoczną bryłę/świętemu Janowi Nepomucenowi ku chwale i czci/sobie przeciw niebezpieczeństwom i wszystkim przeciwnościom/jako potężniejszy azyl i schronienie/warowną przystań/ponieważ na straży stoi tak cudowny opiekun i stróż/z duszą wypełnioną pokorną ufnością/postawiła i ufundowała w roku 1731.*

Święty traktowany jest więc jako obrońca **Janowej wyspy** – enklawy katolickiej, będącej **azylem, schronieniem, warowną przystanią** zagrożoną ze wszystkich stron falą protestantyzmu. Jest tu wyraźna aluzja: „niebezpieczeństwa” i „przeciwności” to budząca niepokój trwałość Reformacji



**Św. Jan Nepomucen z katedry w Ciudad Guatemala. Fot. Krzysztof R. Mazurski**

na Śląsku i we Wrocławiu, gdzie katolicy mimo wsparcia monarchów i aktywności jezuitów stanowili słabą mniejszość. Pozostałe dwa pomniki powstały w miejscach publicznych na terenie miasta i propagują praktyki religijne katolickiej mniejszości wspieranej przez habsburskich katolickich władców. Typowy dla ikonografii świętego pomnik na skwerze przy ul. Szewskiej/pl. Nankiera dłuta Jana Jerzego Urbańskiego (1723) zawiera następującą inskrypcję łacińską:

*Świątemu Janowi Nepomucenowi za zachowanie tajemnicy spowiedzi z mostu praskiego w wodę strąconemu, który nagradza szanujących go, nie nagradza zaś tych, którzy go lekceważą – pobożni poddani wystawili.*

Według przekazów źródłowych jeszcze w latach 30. XX w. uważano, że niezdzjęcie czapki przed figurą świętego przynosi nieszczęście. Podobny w swojej wymowie napis znajduje się na pomniku umieszczonym w 1729 r. po prawej stronie bramy kościoła św. Maurycego, tuż przy historycznym trakcie wiodącym z Wrocławia do Oławy. Trudno czytelny z powodu erozji piaskowca napis głosi:

*Wędrowcowi pozdrawiającemu cię z szacunkiem albo z powodu dobrego imienia będącemu w niebezpieczeństwie bądź obrońcą.*

I znów przechodnie podzieleni są na okazujących świętemu szacunek i pozostałych stanowiących zagrożenie dla wiernych, których święty musi być obrońcą. Warunkiem wsparcia świętego dla przechodniów jest oddanie mu hołdu.

Odczytanie łacińskich inskrypcji na wrocławskich pomnikach św. Jana Nepomucena, powstałych w okresie jego wyniesienia na ołtarze, pozwala na dostrzeżenie, że wszystkie trzy zawierają akcenty polemiczne wobec protestantyzmu. Następuje tu podział na „my” – czciciele świętego, zagrożona falą protestantyzmu katolicka mniejszość, i „oni” – niepodzielająca katolickiego kultu protestancka większość. Święty chroni nie tylko od powodzi, ale także symbolicznie – od zalewu protestanckiego. Gdy powódź zagraża miastom i wsiołom naszego kraju, warto przypomnieć ludowe praktyki religijne żywe jeszcze w XIX w. W podobnej sytuacji wyjmowano z kapliczki figurkę św. Jana Nepomucena i zanurzano w wodzie. W ten sposób „ukarany” święty bardziej był skłonny wysłuchać modlitw zanoszonych przez wiernych...

*Przekład i interpretacja łacińskich inskrypcji za: J. Grębowiec, Inskrypcje w przestrzeni otwartej Wrocławia na tle jego ikonosfery (do 1945 r.), Wrocław 2008. Wykorzystano też: H. Fros, F. Sowa, Twoje imię, Wyd. WAM, Księża Jezuitów, Kraków 1995.*

## Z zielnika Rostafińskiego (18)

### Mięta (*Mentha*)

- Wąchanie grzanek napojonych miętą i octem oddala febrę
- Zapach miętki szkodzi białołłowom
- Broni poczęcia
- Głos gładki i krzykliwy czyni
- Leczy śledzionę, jeżeli chory obrywa ją zbami z krzaka niewyrwanego
- Żeby się mleko nie psuło wyparzyć nią garnki
- Okładając głowę sen oddala
- Ciała natartego nią owady pszczołowate nie tną
- Wieprzom w paszy

Katarzyna Rowińska

## Łeba – cel wakacji

Od kiedy tylko pamiętam, zawsze chciałam zobaczyć morze i nie chodziło mi wcale o zagraniczne kurorty, hotelowe leżaki na plaży w Acapulco czy drink bary pod palmami. Pragnęłam czegoś „nienachalnego”, spokojnego, powiedziałabym – pospolitego, ale w znaczeniu pozytywnym oczywiście. Czyli tak na dobrą sprawę moje marzenie chciałam spełnić gdzieś na polskim wybrzeżu, a mianowicie w Łebie. Nie wyobrażam sobie jakiegokolwiek wyjazdu, nawet nad Zalew Mietkowski, bez wcześniejszego zapoznania się z danym miejscem i ciekawostkami na jego temat. Sięgnęłam więc do książek, wszechobecnego internetu, a nawet zakupiłam przewodnik po Łebie.

Pierwszy zapis o Łebie pochodzi z 1282 r. Wioska należała wówczas do Słowian i pełniła funkcję rybacką. Rozwój miejscowości następował w tak szybkim tempie, że już w 1357 r. otrzymała ona prawa miejskie. W 1570 r. po przejściu kilku niszczących huraganów i sztormów mieszkańcy zdecydowali się przenieść miasto 2 km dalej na wschód od ujścia rzeki Łeby. Stare zabudowania po wielu latach zostały całkowicie zasypane przez ruchome wydmy. Od 1657 r. Łeba należała do Prus. Fryderyk II zaplanował budowę portu nad jeziorem, lecz po kolejnej nawałnicy, która zrujnowała wykopany kanał między morzem a jeziorem, porzucił te plany. Historia miasta jako miejscowości letniskowej rozpoczęła się pod koniec XIX w. Nastąpił rozwój kurortu, trwający do dzisiaj. Powstało wiele ośrodków wypoczynkowych, budowanych głównie przez zakłady przemysłowe dla swoich pracowników. W ostatnich latach pojawiły się również komfortowe pensjonaty i hotele o wysokich standardach. Tyle tytułem wstępu, nie mogłam przecież szanownych Czytelników nie wtajemniczyć w rys historyczny tego urokliwego miasteczka.

Na ten wypoczynek nie chciałam jechać sama, czasem chcemy być odludkami, a czasem nie, ja wolałam tę drugą wersję. Przeczytałam gdzieś czy usłyszałam, już nie pamiętam, że jak wyjeżdżać, to na dwa tygodnie minimum. Przez pierwszy tydzień mianowicie rozmyślałyśmy o tym, co zostawiliśmy w domu, o pracy, o terminach, o niezalatwionych sprawach. Typowym przykładem takiego człowieka jest mój wujek, który podczas rodzinnej wycieczki w góry, przez pierwsze cztery dni, odbierał dziennie średnio pięć ważnych telefonów związanych z firmą, a przecież właśnie od tego chciał odpocząć. Drugi tydzień przynosi ukojenie nerwów, nasze umysły pozwalają sobie na chwile zapomnienia, liczy się tylko spokój. Zamieszkaliśmy u p. Jadzi, bardzo energicznej starszej pani, wynajmującej wraz z mężem Tadeuszem pokoje gościnne. Nasze kwatery były takie jak trzeba, łóżko, stolik, szafa, umywalka i zasłonki w oknach. Nie było w nich telewizorów i dobrze! To miała być przecież ucieczka od tego, co mamy w nadmiarze.

Pierwszego dnia postanowiliśmy zapoznać się z atrakcjami, jakie oferuje Łeba, by rozsądnie dysponować pieniędzmi i w ten sposób spać spokojnie. Po udanym dwu- i półgodzinnym spacerze, z torebką pełną folderów reklamowych i drobnych błyskotek (no co, w końcu jestem kobietą!) wróciliśmy na zasłużony obiad. Pewnie nie zdziwicie się, gdy napiszę, iż pierwszą potrawą, jaką spożyliśmy nad morzem, była ryba, a mianowicie dorsz w sosie musztardowym i makrela w czosnku i szałwi. Mama takiej nie robi, za to jest doskonała pod wieloma innymi względami. Po posiłku wskoczyliśmy w stroje kąpielowe i wyposażenie w olejek do opalania poszliśmy na plażę. Od razu napiszę, że wylegiwanie się na plaży nie jest dla mnie sprawą najwyższej wagi, ale sami rozumiecie: *dziewczyny lubią brąz, a słońce o tym wie...* Łeba posiada trzy plaże. Plaża A jest najczęściej odwiedzana. Można do niej dojść ul. Sosnową bądź przedłużeniem ul. Wojska Polskiego. Droga do niej, jak przystało na nadmorskie deptaki, to minimarket, począwszy od sklepików, smażalni, tatuażach z henny, a skończywszy na wypożyczalniach sprzętu. Przeczytałam w przewodniku, że w upalne dni ludzie żartobliwie mówią o tej plaży: *miejsc stojących brak*, i nie myślą się ani trochę! Zanim znaleźliśmy najmniejszy niezajęty skrawek, przeszliśmy obładowani jak wielbłądy ok. 15 min. Od tamtej pory obraziliśmy

się z parawanem i do końca wypoczynku potulnie leżał za szafką w pokoju. Plaża B w przeciwieństwie do pierwszej nie jest strzeżona, mimo wszystko cieszyła się dużym zainteresowaniem, z wiadomych powodów. Do plaży C dojść można ul. Turystyczną bądź Jachtową. Na tej plaży mogliśmy skorzystać z usług szkoły windsurfingu. Nie przyznam się do wszystkiego, ale mistrzem świata w tej dyscyplinie raczej nie zostanę, więc wybrałam się na spacer. Idąc w kierunku kanału portowego doszłam do 16-metrowego krzyża poświęconego pamięci rybaków, żeglarzy, marynarzy oraz ludzi, którzy nie powrócili z morza. Posiada on także funkcję nawigacyjną. Weszłam także do portu rybackiego, którego początki datuje się na koniec XIX w. Stacjonują w nim, prócz kutrów, statki pasażerskie, oferujące wycieczki po morzu, z możliwością wędkowania lub nurkowania dla posiadających uprawnień. Z tego spaceru pozostało mi mnóstwo ciekawych i pięknych zdjęć.

W kolejnych dniach zwiedziliśmy kilka interesujących zabytków, m.in. przepiękny pensjonat z 1900 r., uważany przez wielu za symbol Łeby. Jest to dawny dom kuracyjny, w którym obecnie mieści się hotel *Neptun* i restauracja. Posiada on wysoką okrągłą wieżę, z której roztacza się przepiękny widok na morze. W całym miasteczku można spotkać XIX-wieczne niskie domy rybackie, stojące szczytami do dróg. Zwiedziliśmy również kościół pod św. Mikołaja – patrona rybaków i żeglarzy. Obecny pochodzi z 1683 r. Pierwszy z 1357 r. został rozebrany z obawy przed zasypaniem go przez ruchome wydmy. W środku można podziwiać organy ufundowane przez rodzinę Mampe w 1791 r. oraz obraz przedstawiający MB Orędowniczkę z XVII w., namalowany przez Maxa Pechsteina, natomiast przed wejściem ławkę w kształcie palety malarskiej na pamiątkę tegoż malarza.

Jak tylko oznajmiliśmy w domu, że wyjeżdżamy do Łeby, moja młodsza siostra od razu powiedziała: *Pamiętajcie, żeby pójść na ruchome wydmy, to jest coś wspaniałego...* Nie pomyliła się. Wyczytałam, iż byłoby prawdziwym nietaktem, być tu i nie zobaczyć tego ciekawego zjawiska. Do Rąbki dojechalismy kolejką, na miejscu odwiedziliśmy Filię Muzeum SPN, gdzie można oglądać wystawę, pokazującą procesy przemieszczania się wydm, historię Słowińskiego Parku Narodowego (SPN) oraz informacje o jego florze i faunie. Następnie wypożyczyliśmy rowery i ruszyliśmy w dalszą drogę (5,5 km). Jechało się bardzo niewygodnie, najgorszym problemem był bardzo wzmożony ruch. Musieliśmy często się zatrzymywać i uważać nie tylko na innych rowerzystów, pojazdy zmechanizowane, ale i pieszych. W połowie drogi zwiedziliśmy wyrzutnię rakiet z okresu II wojny światowej, w której prowadzono badania nad nową bronią, jaką były rakiety przeciwlotnicze. W jednym z ocalałych bunkrów mieści się muzeum z wystawą starych fotografii, szkicami rakiet, a także planami poligonu. Po zwiedzeniu udaliśmy się do właściwego celu wyprawy, czyli na wydmy Łącką. To było coś niesamowitego, przez te kilkadziesiąt minut czułam się jak na pustyni. Gdy wdrapaliśmy się na szczyt wydmy, po lewej stronie widzieliśmy jezioro Łebsko, a po prawej – Bałtyk. Wiał bardzo silny wiatr, przez co w dotkliwy sposób szczypał nas piasek. I tu mała rada: uważajcie na sprzęt elektroniczny, piasek dostał się do wnętrza naszego aparatu i o mały włos nie straciliśmy możliwości robienia zdjęć. Jak mówi przysłowie, *Mądry Polak po szkodzie*. Teren wydm znajduję się na obszarze Słowińskiego Parku Narodowego, który w 1977 r. został wpisany przez UNESCO na Światową Listę Rezerwatów Biosfery oraz Światową Listę Obszarów Wodno-Błotnych. Wróciliśmy wyczerpani.

Kolejnego popołudnia za namową p. Jadzi odwiedziliśmy ogród ornitologiczny i miasteczko westernowe „Western City”. Co ciekawe, ogród jest własnością prywatną i posiada ponad sto gatunków ptaków z całego świata na około 6 ha. By nie było zbyt ptasio, gospodarze umieścili w nim również kilka przedstawicieli ssaków, np. świnio-dziki. Najzabawniejsze jednak są strusie Gerwazy i Fruzia, które tak wystraszyły Tomka, że pogubił klapki, uciekając przed nimi. Ogród oferuje przewodnika dla zorganizowanych grup, a nawet możliwość wędkowania na jednym ze stawów rybnych, zlokalizowanych w jego obrębie.

„Western City” położone jest tuż za Łebą. Odbywają się w nim pokazy mistrzów Polski jazdy konnej z stylu West, parady, kowbojskie pojedynki, koncerty muzyki country i wiele, wiele innych zabaw, szczególnie atrakcyjnych dla dzieci i ich tatusiów.

Dzień mijał za dniem. Przedostatni dzień pobytu postanowiliśmy spędzić na rowerach. Trasa, którą wybraliśmy, biegła dokoła jez. Sarbsko, a rozpoczynała się w Łebie na ul. Nadmorskiej. Prowadzi ona przez rezerwat Mierzeja Sarbska, utworzony w 1976 r. na pow. 546,63 ha. Obszar ten rozciąga się na mierzei oddzielającej Bałtyk od Sarbska. Wysokości zalesionych wydm dochodzą do 24 m n.p.m. Pierwszy odpoczynek na tej 30-kilometrowej trasie zrobiliśmy w olsowym lesie, gdzie przy odrobinie szczęścia mogliśmy zobaczyć chronionego puchacza, niestety, nam się to nie udało. Na piątym kilometrze mieliśmy możliwość pozostawienia rowerów na parkingu, by wspiać się na Górę Piaszczystą, będącą jednocześnie punktem widokowym i podziwiać jez. Sarbsko. Jest ono dawną zatoką morską o

powierzchni 677 ha. Następnie dojechaliśmy do latarni morskiej Stilo i tuż za nią na parking leśny z tablicami poglądowymi. Kolejnym przystankiem była wieś Ulinia. Pierwsza wzmianka o tej wsi w dokumentach pojawiła się w 1437 r. Na jej terenie znajduje się dawne założenie parkowo-pałacowe z drugiej połowy XIX w. Obecnie w pałacu mieści się ośrodek kolonijny, ale wciąż można podziwiać jego majestatyczność i starodrzewia, już teraz pomnikowe. Około 2 km za wsią Ulinia wjechaliśmy do wsi Sarbsko. Wieś ta posiada równie bogatą historię, kamienny kościółek z 1926 r. oraz zbiór starych maszyn rolniczych.

Ostatnim etapem trasy jest Nowęcín. Miejscowość leży na południowo-zachodnim brzegu jez. Sarbsko. Po 1947 r. Mikołaj Wejher zbudował tu zamek obronny, do dziś można oglądać fragmenty jego fosy. Został on przebudowany w XVI i XIX w., a ostatnie zmiany nadały mu neogotycki charakter. Zachowała się także gotycka kaplica, zwana Jeruzolimską, w której dziś mieści się recepcja. Pałac otoczony jest parkiem z licznym starodrzewiem, tuż za nim natomiast postawiono kaplicę grobową z połowy XIX w. Obecnie, zgodnie z prawami komercji, w zamku funkcjonuje hotel z restauracją i barem. Będąc tu nie mogliśmy nie skorzystać z oferty stadniny koni, mieszczącej się w dawnych zabudowaniach folwarcznych. Poprosiłam oczywiście o bardzo łagodną klacz, nie chciałam kusić losu i denerwować nasz kochany NFZ. Przeprowadzono mi Milę, przesympatyczną białą klacz o wyjątkowym charakterze. Jak się później okazało, przeważająca część koni tej stadniny brała udział w hipoterapii. Nasza przejażdżka trwała jakieś pół godziny, nie mogliśmy zostać dłużej, bo dzień wcześniej wykupiliśmy bilety na występ kabaretu Ani Mru Mru, w łebskim domu kultury.

I tak zakończyły się nasze wakacje. Było nam smutno wyjeżdżać, ale cóż, zawsze można tu wrócić. Naładowani pozytywną energią dotarliśmy do domów. Zdjęcia z tej wycieczki zajęły dwa średnie albumy, a wspomnienia...

---

## Wigierski Park Narodowy

To jeden z największych i najmłodszych parków narodowych w Polsce. Utworzony 1.01.1989 r. na obszarze 14 956 hektarów. Aktualna powierzchnia wynosi 15 086 ha, w tym 9464 ha to grunty leśne, 2908 ha – wody, i 2714 ha inne tereny, głównie użytkowane rolniczo (2229 ha). Ochroną ścisłą objętych jest 623 ha, w tym 283 ha lasów. Obszary zagospodarowane rolniczo objęte są ochroną krajobrazową. Położony jest na północnym skraju Puszczy Augustowskiej, największego zwarteo kompleksu leśnego na Niziu Środkowoeuropejskim, który wraz z lasami na terytorium Litwy i Białorusi pokrywa obszar około 300 tys. hektarów. Geograficznie Park leży w granicach Pojezierza Litewskiego i obejmuje fragmenty trzech mezoregionów: Pojezierza Zachodniosuwalskiego, Pojezierza Wschodniosuwalskiego i Równiny Augustowskiej. Prawie cały obszar Wigierskiego PN znajduje się w środkowej części dorzecza rzeki Czarna Hańcza, dopływu Niemna.

Na terenie Parku stwierdzono występowanie 297 gatunków kręgowców, w tym 32 gatunki ryb, 12 gatunków płazów, 5 gatunków gadów, 205 gatunków ptaków oraz 46 gatunków ssaków. Ponad 82% fauny kręgowców Parku (244 gatunki) podlega ochronie gatunkowej. Jest to 48% wszystkich chronionych w Polsce kręgowców. Wśród gatunków objętych ochroną zdecydowanie największą grupę stanowią ptaki – 185 gatunków, a następnie ssaki – 37 gatunków. Pozostałe gatunki należą do gromady płazów, gadów i ryb. Na obszarze Parku znajdują się 42 jeziora, naturalne zbiorniki wodne, których łączna powierzchnia wynosi ponad 28 km<sup>2</sup>. Największe, najgłębsze i najatrakcyjniejsze dla większości turystów odwiedzających Park jest jezioro Wigry, które ma 2187 ha, maksymalną głębokość 73 m i zajmuje centralną jego część. Główną rzeką Parku jest Czarna Hańcza, przepływająca przez Wigry i stanowiąca znany i ceniony w kraju szlak kajakowy. Park jest obszarem udostępnionym dla różnorodnych form turystyki. W tym celu wyznaczone i urządzone zostały szlaki lądowe o łącznej długości 190 km dla turystyki pieszej i rowerowej oraz wyznaczone jeziora i rzeki do uprawiania turystyki wodnej. Turystyka na szlakach turystycznych Parku może się odbywać przez cały rok od świtu do zmierzchu. Udostępnione wody Parku można zwiedzać kajakiem, łodzią wiosłową, żaglówką lub innym sprzętem pływającym bez silnika spalinowego. Akweny udostępnione do turystyki i wędkarstwa to jeziora: Wigry, Pierty, Omułówek, Mulaczysko, Czarne koło Bryzgly, Leszczewek, Postaw i Czarna Hańcza poniżej Wigier.

## Zwiedzamy Warmię (1)

**P**o zejściu z pokładu „Marabuta” na Kanale Elbląsko-Ostródzkim wsiadamy do autokaru i udajemy się w podróż do Pasłęka. W tym zniszczonym niemal w 80% podczas ostatniej wojny mieście zachowało się wiele interesujących zabytków. Pierwsze kroki skierowaliśmy pod gotycką XIV-wieczną Bramę Wysoką, stanowiącą element systemu obronnego miasta. Pasłęckie mury dzięki swojej 1200-metrowej długości stanowią jedne z najdłuższych w północnej Polsce a na dodatek są prawie w całości zachowane, w tym z Bramą Młyńską. Następnie powędrowaliśmy na kirkut z zachowanymi klasycznymi macewami. Wędrując wzdłuż obwarowań dociera się na rynek, gdzie oczom ukazuje się gotycki XIV-wieczny ratusz z późnorenesansowym szczytem, który otrzymał w wyniku późniejszej przebudowy. Co ciekawe, na budowli umieszczony został napis wystawiający Holendrów będących pierwszymi osadnikami na tym terenie. Niderlandzkie pionierstwo było dostrzegalne na każdym kroku naszej wyprawy. Zaraz za ratuszem wznosi się gotycki kościół pw. św. Bartłomieja, a za nim zamek, który na przestrzeni wieków wielokrotnie był niszczony i odbudowywany, przez co utracił swoje pierwotne, XIV-wieczne, cechy stylowe.

Po przerwie obiadowej wyruszyliśmy na 10-kilometrowy spacer do Zielonki Pasłęckiej, gdzie znajduje się Sanktuarium Miłosiernego Chrystusa Tarnorudzkiego ze słynącym łaskami obrazem, pochodzącym z Wołynia. Ostatnim obiektem przewidzianym do zwiedzenia na wtorek był gotycki XIV-wieczny kościół śś. Piotra i Pawła w Morągu. Piękna budowla urzeka XV-wieczną polichromią na ścianach prezbiterium, odkrytą przypadkowo podczas przenoszenia płyt nagrobnych z posadzki na ściany. Ponadto warto zwrócić uwagę na mający blisko 700 lat okazały krucyfik oraz zachowane sklepienia w nawach. Po wyjściu ze świątyni rzuciliśmy okiem na zamek oraz gotycki ratusz z połowy XV w., do którego dostępu broniły dwie armaty.

Środę rozpoczęliśmy od wizyty w równie wspaniałym zabytku architektury sakralnej w Ornie. Ciężkiemu gmachowi XIV-wiecznej fary św. Jana Chrzciciela o masywnej wieży lekkości nadaje zachowana attyka oraz rzygacze o fantazyjnych kształtach. Na jednej ze ścian zewnętrznych warto zwrócić uwagę na glazurę z kobiecymi głowami. Świątynia otoczona jest wieńcem kaplic, które wizualnie współgrają z korpusem głównym. Kolejną średniowieczną pozostałością w mieście jest ratusz pochodzący z tego samego okresu co kościół. Gotycka budowla wielokrotnie była przebudowywana i remontowana. W XV w. otoczona została domkami, które uległy zniszczeniu w czasie ostatnich działań wojennych. Ich rekonstrukcja w latach 70. nie oddała dawnego wyglądu obiektom, co widać „gotym okiem”... Co ciekawe, w barokowej wieżyczce dobudowanej w XVIII w. na środku dachu, wisi najstarszy dzwon na Warmii, pochodzący z 1384 r.

W Krośnie – małej wiosce pod Ornetą, znajduje się kościół zwany „małą Świętą Lipką”. Jak głosi legenda, pewnego razu dzieci bawiące się w rzece Drwęcy odnalazły figurkę Matki Boskiej, która zasłynęła cudami. W miejscu tym w XVI w. postawiono kaplicę, a gdy z powodu napływu pielgrzymów okazała się ona zbyt mała, postanowiono wznieść kościół. Stał on dokładnie w miejscu znalezienia postaci, co wymagało zmiany biegu rzeki. Niestety, w wyniku zawieruchy wojennej w 1945 r. słynąca łaskami figurka bezpowrotnie zaginęła... Obecną świątynię pw. Nawiedzenia Najśw. Marii Panny wybudowano na



**Mała Św. Lipka**

początku XVIII w. na polecenie bpa Potockiego. Dwie wieże barokowej budowli zwieńczone zostały hełmami, na których umieszczono herb fundatora *Pilawa*. Co ciekawe, z lewej strony został on zamontowany odwrotnie, przypominając tym samym herb Prus. We wnętrzu znajduje się monumentalny ołtarz główny, w którym umieszczona została replika maryjnej figurki. Kościół otoczono krążankiem, ozdobionym figurami apostołów, w którego narożach umieszczono kaplice. Po kompleksie oprowadzał miejscowy proboszcz. Ocalił on niegdyś zabytek przed ruiną i dziś się nim opiekuje, chcąc przywrócić mu dawną świetność. Snuł niezwykle interesującą opowieść o historii świątyni, Krośnie i jego mieszkańcach, a przede wszystkim o wielokulturowej i wielonarodowościowej Warmii... Najważniejsi byli dla niego ludzie, którym region zawdzięcza swój niezwykle charakter. Ciężko było rozstać się ze wspaniałym miejscem i jego gospodarzem.

Kolejnym obiektem, jaki przyszło odwiedzić, był zamek w Lidzbarku Warmińskim, na którym rezydowali biskupi warmińscy. Wznoszenie budowli rozpoczął ok. 1350 r. Jan z Miśni, a ukończył ją w pięćdziesiąt lat później bp Henryk III. Szczególnego charakteru bryle nadają trzy smukłe wieżyczki w narożach. W czwartym zachowała się okazała, ośmioboczna wieża. Szczególnie cennym elementem architektonicznym są zachowane na dziedzińcu wewnętrznym piętrowe gotyckie krążanki. Na ich drugiej kondygnacji ocalały freski nanoszone od XV do XVIII w. Ponadto dostrzec można odmierający czas zegar słoneczny. We wnętrzach umieszczono ekspozycje poświęcone warmińskiemu zamkom, barokowym pamiątkom oraz Ignacemu Krasickiemu, który był ostatnim rezydentem na zamku... Ponadto warto zwrócić uwagę na dzieła polskich malarzy XIX i XX w.: Juliana Fałata, Józefa Mehoffera, Jerzego Dudy-Gracza i innych. Niezwykle ciekawym miejscem jest refektarz, na którego ścianach wymalowany został poczet biskupów warmińskich. Wśród nich widnieją takie nazwiska, jak Stanisław Hozjusz, Marcin Kromer, Andrzej Batory czy Adam Grabowski. Ten ostatni w połowie XVIII w. odkrył w miejscowym księgozbiorniku rękopis kroniki Galla Anonima. Na szczególną uwagę zasługuje jednak nazwisko rodem z Włoch – Enea Silvio de Piccolomini. Został on w 1457 r. warmińskim biskupem-elektorem, a rok później, ogłoszony papieżem, przyjął imię Piusa II...

Pomieszczeniem, jakie również robi wrażenie, jest loch głodowy, do którego nieszczęśnika spuszczano na sznurze. System służący do „osadzenia” skazańca do złudzenia przypomina konstrukcję studziennego kołowrotu. Co ciekawe, w komorze znajduje się toaleta. Zamkowa kaplica z kolei przyciąga oczy mnogością złocień. Pod przepięknym gwiaździstym sklepieniem kryją się rokokowe precjoza. Najciekawsze spośród nich to ambona, której artysta nadał kształt rydwanu i prospekt organowy.

*Cdn*

## Świętokrzyski Park Narodowy

Park położony jest w centralnej części Gór Świętokrzyskich i obejmuje: pasmo Łysogór (z najwyższym szczytem Łysicą – 612 m i Łysą Górą (Św. Krzyżem) – 595 m), część Pasma Klonowskiego (z górami Psarską i Miejską), Doliny Wilkowskiej i Doliny Dębniańskiej, a także dwie eksklawy – Górę Chełmową i Las Serwis. W 1950 r. część Gór Świętokrzyskich nazwano Puszcza Jodłową im. Stefana Żeromskiego, który był zwolennikiem i rzecznikiem ochrony tego obszaru. W 1921 r. powstał pierwszy tu rezerwat im. Józefa Kostyrki na Chełmowej Górze (163 ha). W 1922 r. objęto ochroną rezerwatową dwa fragmenty Łysogór: na południowym zboczu Łysej Góry fragment o powierzchni 196 ha i na północnym zboczu Łysicy – 115 ha. W 1932 r. powiększono obszar rezerwatów do 1347 ha. Park narodowy oficjalnie utworzony został 1.05.1950 r. na obszarze 6054 ha. W 1954 r. na terenie Parku powstały dwa kolejne rezerваты ściśle: Czarny Las o powierzchni 26,45 ha oraz Mokry Bór o powierzchni 38,44 ha. Jest tu też pięć obszarów ochrony ściślejszej o łącznej powierzchni 1731 ha. Na grzbietach górskich występują charakterystyczne rumowiska skalne – gołoborza, nadające krajobrazowi specyficzny charakter. Największe i najbardziej malownicze z nich znajdują się w okolicach Łysej Góry i na Łysicy. Większość terenu Parku zajmują lasy jodłowe i bukowe, w niższych partiach pasm występują bory sosnowe, bory mieszane sosnowo-dębowe z domieszką jodły, modrzewia, świerka i buka. Warte odwiedzenia w Parku Narodowym na Świętym Krzyżu są klasztor benedyktynów świętokrzyskich z XII w. oraz wał kultowy wokół Łysej Góry z IX i X w.

*Franciszek Rzeško*

## PIESZA WYCIECZKA PO ŻMIGRODZIE

**M**iasto Żmigród leży nad rzekami Barycz i Sasicznica w woj. dolnośląskim, w pow. trzebnickim, i jest siedzibą gminy miejsko-wiejskiej Żmigród, licząc ok. 6500 mieszkańców. I to wszystkie podstawowe dane, jakie początkujący lub zaawansowany turysta znajdzie w popularnej internetowej wikipedii. Poza tym jest tam jeszcze kilka wymienionych zabytków miasta, z czego, niestety, dwa się dublują, a jeden zabytkiem nigdy nie był. Ot, typowe niesprawdzone informacje internetowe. Dlatego postanowiłem zaprosić turystę do tego szarego i nic nieznaczącego miasteczka. Może nie jest jednak tak źle?

Miasteczko leży na trasie Poznań – Wrocław, od którego oddalone jest o 48 km. Niedaleko, a więc można zobaczyć. Jak się dostać? Można oczywiście dojechać wszędobylskim samochodem, ale czasami, jak już się porywamy na taką eskapadę, można zaryzykować i pojechać koleją. Samochód po pierwsze droższy, po drugie wyjazd z Wrocławia może nastęrczać trudności, no i w końcu jak tu się piwa podczas wycieczki napić, jak prowadzić trzeba? Poza tym podróżowanie krajową drogą nr 5 też do przyjemności raczej nie należy, kiedy omijać należy ciągnące się w nieskończoność remonty. Kolej prawie niczego nie remontuje, więc nie ma się czym przejmować i spokojnie podjąć to ryzyko. Lokalny globtroter nie powinien mieć z tym żadnego problemu. Udajemy się więc w miarę wczesnym rankiem na Dworzec Główny i po uprzednim sprawdzeniu połączeń (a tych, o dziwo, wcale nie jest tak mało) zasiadamy w bardzo wygodnym pociągu osobowym (bo taniej), który powiezie nas w niecałą godzinę do Żmigrodu. W pociągu miejsca dosyć, bo młodzież i lud pracujący rano udaje się raczej do Wrocławia niż w przeciwnym kierunku. W podróż zabrać należy: dobrą pogodę, trochę kanapek (jeśli chcemy zaoszczędzić na jedzeniu), no i coś do picia. Ponadto drukujemy sobie przed podróżą parę informacji o historii i zabytkach żmigrodzkich (ale lepiej nie ze wspomnianej wikipedii), także i plan miasta, żeby wiedzieć, gdzie się udać. Chyba, że jedziemy z mieszkańcem Żmigrodu, który jest w stanie poświęcić dzień, żeby nas po mieście oprowadzić. W pociągu z racji godzinnej podróży (a nigdy nie wiadomo, czy aby na pewno będzie to tylko godzina) zabieramy się za informacje historyczne. A dowiadujemy się następujących rzeczy:

Według legendy osada Żmigród usytuowana była na Górze Smoczej. Prawdą natomiast jest, że po raz pierwszy wymienia się tę miejscowość jako „wieś leżąca nad brodem Zuningrod” (informacja ta zawarta jest w bulli protekcyjnej papieża Hadriana IV z 23.04.1155 r.). O założeniu miasta Żmigród na lewym brzegu Baryczy dowiadujemy się z dokumentu wydanego 15.05.1253 r. W dokumencie lokacyjnym Henryk III przekazał miastu 50 łanów frankońskich (1 łan frankoński to ok. 24 ha). Lokator otrzymał od księcia pozwolenie na postawienie w mieście stoisk z mięsem i chlebem, łaźni, młynów, stawów i rzeźni. Jednym z głównych powodów założenia miasta było zapewnienie bezpieczeństwa tej części kraju. Tędy biegła bowiem droga z Wrocławia do Poznania, mająca duże znaczenie strategiczne i gospodarcze. Prawdopodobnie od początku założenia Żmigród był w posiadaniu książąt wrocławskich. W latach 1293-1312 wchodził w skład księstwa głogowskiego, w latach dwudziestych XIV w. przeszedł w posiadanie Konrada oleśnickiego. W 1492 r. Żmigród jako lenno przejął król czeski Władysław Jagiellończyk i w tym samym roku ofiarował je niemieckiemu feudałowi Zygmuntowi Kurzbachowi. Sto lat później kolejna zmiana właściciela – tym razem miasto przypadło rodowi Schaffgotschów, by w 1641 r. znaleźć się w rękach rodu Hatzfeldów. Ta ostatnia rodzina



### Trasa wycieczki

mi, w końcu dojeżdżamy (o czasie!) do celu naszej podróży. Wsiadamy i od razu uderza w uszy wszechogarniająca... cisza. No tak, to w końcu nie Wrocław ze swoim bezustannym zgiełkiem. Po oswojeniu się z tym miłym zjawiskiem ogarniamy wzrokiem okolicę. Z jednej strony budynek stacji i droga na miasto, z drugiej jakiś zakład i pola. Budynek stacji, podobny do wszystkich mijanych na trasie, wybudowany został ok. 1910 r. Pomalowany na średnio ciekawy, wyblakły różowy kolor, ale przynajmniej widać, że odnowiony był całkiem niedawno, bo brak na nim jeszcze okolicznościowych napisów typu: „Kocham Cię Weronika” czy „Romek to ...”. Wychodzimy na plac przed budynkiem i otwierają się nam dwie drogi na miasto. Jako że plan wycieczki mamy z góry ustalony, wybieramy ul. Kolejową. Naszym przewodnikiem będzie napotkany w pociągu mieszkaniec Żmigrodu, który akurat ma wolny dzień i ochotę na pieszą przechadzkę. Pierwszym ważnym punktem będą pozostałości pałacu i park, leżące na północnym krańcu miasta. Czekają nas około 2,5 km wędrówki. Idąc ul. Kolejową mijamy zlokalizowane po prawej stronie budynki mieszkalne oraz budynek poczty, wybudowane na początku XX w. Tuż za pocztą duży plac. Jeśli nasza wycieczka odbywa się we wtorek lub w piątek, plac jest pełen handlarzy ze stoiskami wszelakiej maści i kupujących (w języku żmigrodzian odbywa się tu „targ”). Po lewej stronie widać ogromne budynki z czerwonej cegły i bardzo wysoki komin. To cukrownia. A raczej to, co z niej zostało. Kompleks budynków prezentuje się jednak na tyle okazale i ciekawie, że fajnie byłoby tam zajrzeć. Pytamy więc naszego przewodnika-tubylca, czy da się wejść na jej teren. Oficjalnie się nie, bo to teren prywatny, ale zaraz za nim znajdują się ogródki działkowe, a droga do nich wiedzie tuż koło cukrowni. O ile do samych budynków wejść się raczej nie da, to atrakcją tego miejsca jest... możliwość wejścia do środka komina. Byliście kiedyś w kominie? Tak więc ścieżeczką udajemy się w okolice komina, ze zwinnością gimnastyka pokonujemy dwumetrowe ogrodzenie, bacznie się przy tym rozglądając i już jesteśmy. Gdzieś tam widnieją jeszcze ślady wyburzonych w latach 90. ubiegłego wieku budynków. Komin też miał zostać wyburzony, podłożono już nawet pod niego ładunki, ale w ostatniej chwili zrezygnowano jednak z tych nieszczęsnych planów. Dziś komin ratują zlokalizowane na nim anteny telefonii komórkowych. Podchodzimy do komina. Z jednej strony dziura wielkości drzwi wejściowych do jakiegoś budynku. Wchodzimy do środka,

bardzo dbała o rozwój miasta dużo budując, fundując i nadając przywileje cechom rzemieślniczym. W swej ponad 750-letniej historii miasto ucierpiało kilkakrotnie podczas wojen trzydziestoletniej, siedmioletniej (połowa XVIII w.), francusko-pruskiej (początek XIX w.), a także II Wojny Światowej. Oprócz zniszczeń przez przetaczających się co jakiś czas różnych wojsk kilkakrotnie było trawione przez pożary i zarazy. W początkach swojego istnienia miasto otaczał ziemny wał umocniony palisadami i fosą. Prowadziły do niego dwie bramy, które usunięto w 1819 r.

Najważniejszymi i najbardziej znanymi zabytkami miasta są ruiny pałacu wybudowanego w latach 1656-1658 z pięknym założeniem parkowym, dwa kościoły (jeden poewangelicki), wieża ciśniowa z 1901 r. oraz figura św. Jana Nepomucena. W mieście dominuje zabudowa z 2. połowy XIX w. Można zobaczyć tu wiele neorenesansowych i neobarokowych, a nawet przybierających formy klasycystyczne kamienic.

Po cennej lekcji historii i podbudowaniu morale żołądka przygotowanymi kanapka-



### Zabezpieczone ruiny pałacu żmigrodzkiego

w powietrzu ciągle unosi się charakterystyczny zapach popiołów i sadzy. Rozglądamy się i uwagę naszą przykuwają białe w ściany wewnętrzne żelazne uchwyty, które układają się w formie drabiny. Prowadzą one na sam szczyt komina (60 m!). Kto z was wiedział, że w środku komina może znajdować się drabina? Oczywiście jako miłośnicy przygody natychmiast się na nią wspinamy, jednak kiedy 15. z kolei uchwyt zostaje nam w dłoni, rezygnujemy ze wspinaczki. Nie warto ginąć w kominie na początku wycieczki. Wychodzimy więc i wracamy na właściwą trasę.

Słyszeliśmy, że park z ruinami to dość urokliwe miejsce i chcemy tam spędzić godzinkę, bo pogoda piękna, warto by zaopatrzyć się w jakiś napój rodem z gór. Skręcamy więc z ul. Kolejowej w Rybacką podziwiając przy okazji kilka pozostałych w tym rejonie miasta willi z początku XX w., niestety, w niezbyt dobrym stanie. Następnie skręcamy w ul. Wąską i z niej wychodzimy w miejsce, gdzie jeszcze dwieście lat temu stała jedna z bram prowadzących do miasta (tzw. brama polska). Dziś po niej nie ma śladu, natomiast przy trójkątnym placu tryska niezbyt ciekawa fontanna, a wokół niej zlokalizowane są sklepy. Ten, który nas interesuje, ma nader ciekawą nazwę: sklep winno-cukierniczy „Grzesz”. Nazwa o tyle dziwna, że sklep powstał w 2009 r. i żadnych tradycji winnych ani tym bardziej cukierniczych nie posiada. No i wyrobów cukierniczych raczej tu nie kupimy. Co innego, jeżeli chodzi o wina. Po zakupie udajemy się ul. PKWN w stronę parku i pałacu. Po ok. 100 m mijamy po lewej stronie umiejscowioną u zbiegu ulic Kolejowej i PKWN kapliczkę. Powstała ona około 1850 r. Przedstawia płaskorzeźbę Madonny adorującej Dzieciątko. Tuż za nią znajduje się otoczony ceglany mur z otworami w kształcie krzyży budynek zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo z 1824 r. Następnie wchodzimy w ul. Poznańską i nią ok. 500 m. Jest to mniej ciekawy obszar miasta, w którym dominuje widok ogródków działkowych, garaży i kilku zakładów przemysłowych. Z ul. Poznańskiej schodzimy w piękną aleję, którą tworzą głównie kasztanowce i lipy. Niegdyś aleja ta łączyła zamek z miastem. Dziś zachował się jedynie ok. dwustumetrowy jej fragment. Wychodząc z alei przechodzimy przez ruchliwą drogę krajową nr 5 i do parku pozostaje jakieś 200 m. Widać już mur okalający park, idziemy wzdłuż niego i dotarłszy nad samą Barycz wchodzimy na teren parku.

Park stanowią rozległe zespoły starodrzewia. Jest to najcenniejszy krajobrazowo kompleks w granicach Żmigrodu. Z informacji przewodnikowych czytamy, że „charakterystycznym typem siedliskowym dla tego terenu według typologii leśnej jest las łągowy. Zasadniczymi elementami szaty drzewiastej parku są zwarte drzewostany liściaste, w których dominuje dąb szypułkowy z domieszką olchy czarnej, grabu, jaworu i jesionu wyniosłego. Drzewostany są zróżnicowane wiekowo, mają od 80 do 150 lat. Wśród pozostałych drzew wyróżniają się kępy młodej katalpy okazałej, sosny wejmutki, dęby czerwone, platan kloniasty i dęby błotne”. Ten romantyczny park, założony na przełomie XVIII i XIX w. na powierzchni 15,2 ha, posiada dwa pomniki przyrody: cis (obwód 150 cm) i dąb (obwód 640 cm). Obok nich stoi żelazny maszt na chorągwie z końca XIX w.

*Cdn*

Krzysztof Tęcza

## Czeski Raj

**P**roponuję wycieczkę dla zmotoryzowanych, tym razem u naszych sąsiadów. Odwiedzimy trzy piękne miejsca, tak aby nie zmęczyć się zanadto, najpierw do widocznych już z daleka ruin zamku Trosky. Są to dwie wieże zbudowane na dwóch bazaltowych skałach. Jedna z nich nazywa się Panna. Jest ona smuklejsza od drugiej i wyższa, ma 57 m. Druga, niższa o 10 m, to przysadzista Baba. Oprócz nich zachowały się jeszcze mury obronne. Ruszamy pod górę, aby dotrzeć do bramy wejściowej. Tutaj możemy zakupić mapy, przewodniki i jakieś pamiątki. Sam bilet wstępu kosztuje tylko 50 koron. Możemy, jeśli jesteśmy studentami, emerytami czy są z nami dzieci, wykupić bilet ulgowy za 35 koron albo rodziny za 150 koron, na który wejdą dwie osoby dorosłe i dwoje dzieci. Po przekroczeniu bramy widzimy, jak trudno było zbudować ten obiekt. Te potężne mury naprawdę były prawie nie do zdobycia. Jednak zbudowany w latach 1380-90 zamek został zdobyty przez króla czeskiego Jerzego z Podiebradów w 1469 r. W 1648 r. został spalony przez wojska cesarskie, które pokonały Szwedów. I od tej pory już nikt nie podjął się jego odbudowy. Zwiedzanie najlepiej zacząć od wejścia dobudowanymi specjalnie dla turystów drewnianymi schodami na wyższą wieżę. Ale jeżeli ktoś cierpi na lęk wysokości, to lepiej niech podczas wchodzenia nie patrzy w dół. Za to z samej wieży widoki są wspaniałe. Akurat, gdy wchodziłem na wieżę, przepuściłem z trudem idącego księdza. Tuż za nim śmigał pan młody i nieco wolniej, z pomocą innych, dreptała panna młoda. Nie wiem, czy był to objaw zmęczenia czy czegoś innego. Ale faktem jest, że odbyła się tam ceremonia ślubna.



**Zamek Hrubá Skála, w tle Zamek Trosky. Fot. Piotr Dacko**

Po zrobieniu pamiątkowych zdjęć obowiązkowo należy wejść na drugą wieżę, a ściślej mówiąc – tylko na taras widokowy. Na samą górę bowiem nie ma możliwości dotarcia. Z tarasu widoki są niepowtarzalne. W drodze powrotnej możemy jeszcze przystanąć przy pani z ptakami. Zobaczymy tutaj orła, puchacza i myszołowa. Są to piękne ptaki tyle tylko, że nieloty. Przeszły one różne kontuzje i teraz w schronisku spokojnie sobie żyją. Muszą tylko zarobić na jedzonko. I dlatego warto zrobić sobie zdjęcie z nimi. Kosztuje to jedyne 30 koron.

Teraz czeka nas krótka przejażdżka do rezerwatu Prachovské Skály. Z zaparkowaniem nie ma tutaj najmniejszego problemu. Można też coś przekąsić. Po zapłaceniu 50 koron otrzymamy olbrzymi bilet w formie mapy. Warto jednak wydać kilka koron więcej i kupić prawdziwą mapę 1:7000. Z nią nie zabłądzimy. Zapewne większość z nas była już w jakimś skalnym mieście, więc wie, co ją czeka. Ale dla tych, którzy pierwszy raz odwiedzają taki obiekt, powiem, że warto. Bo obojętne, czy jest on bardziej czy mniej znany, zawsze będziemy zaskoczeni formami skalnymi, jakie zobaczymy. Będziemy zdumieni tym, co przyroda potrafi dokonać. Same skały zajmują obszar ponad 180 ha, a jak już wspomniałem, są chronione jako rezerwat przyrody już od 1933 r., czyli nie wolno schodzić z



**Prachovské Skaly. Fot. Piotr Dacko**

nakazał przebudowę ulic. I to on był sprawcą wszystkiego, co sprzyjało rozwojowi tego miejsca. Założył tutaj swoją siedzibę, postawił wiele nowych kamienic, zbudował pałac, dbał również o życie duchowe mieszkańców. Aby zobaczyć, ile tu dokonał, trzeba zwiedzić piękny rynek, pałac połączony przejściem z kościołem św. Jakuba Większego. Niestety, miasto straciło swoje znaczenie, gdy z rozkazu cesarza uduszono Wallensteina. Stał się on bowiem zbyt potężny, a jego niektóre tajne poczynania zagrażały cesarstwu. Dzisiaj Jičín kojarzony jest w zasadzie tylko z jedną osobą – Rumcajsem. Jest tutaj oczywiście muzeum Rumcajsa. Ale warto też spróbować odnaleźć ślady bajkowego tego rozbójnika, jego żony Hanki, synka Cypiska oraz jasnie pana hrabiego (pierwowzór tej postaci to oczywiście Wallenstein). Twórca bajkowych przygód sławnego rozbójnika, Radek Pilar, swoje opowiadania wplótł w historię swojego miasta. A dzisiaj najlepiej, po zwiedzeniu rynku, wdrapać się po 156 schodach na wieżę Valdická Brana. Bilet to tylko 10 koron. Oprócz tego, że będziemy w miejscu więzienia Hanki, to z górnego tarasu, z wysokości 52 m rozpościera się przepiękny widok, przede wszystkim na sam rynek, ale także i na całą okolicę. Jest tutaj także małe muzeum. Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak odpocząć w cukierni, w której możemy nabyć pierniki przedstawiające Rumcajsa, i wyruszyć w drogę powrotną do domu.

wytyczonych tras. Teren ten w porównaniu do bardziej znanych skalnych miast jest o wiele bardziej wymagający. Naprawdę namęczymy się chodząc najpierw pod górę, później z góry. Co prawda, jest tutaj wiele schodów ułatwiających zwiedzanie, ale niejednokrotnie są one śliskie, gdyż spływa po nich woda. Najbardziej znana część tego miejsca to Cesarski Korytarz. Swą nazwę zawdzięcza odwiedzinom cesarza Franciszka Józefa I 9.06.1813 r. Złośliwi twierdzą, że nie było takiej wizyty. Jest tutaj wiele skał o pięknych, a czasem zaskakujących kształtach. Jest też wiele punktów widokowych. Najpiękniejsze jednak widoki zobaczymy z Vyhliďki Czeskiego Raju. Właśnie z tego miejsca widać centralną część skalnego miasta, tyle że z góry. Warto tu zabawić nieco dłużej, nie patrząc na to że czas ucieka. Przyroda nas otaczająca warta jest tego.

Po napatrzeniu się na piękne twory skalne przejdziemy do miejscowości Jičín. To małe miasteczko założone na przełomie XIII/XIV w. znano z tego, że jego właścicielem był Albrecht Wallenstein, wódz naczelny wojsk cesarskich. I właśnie dzięki niemu miasto rozkwitało. To on



**Valdická Brana w Jiczynie. Fot. Krzysztof Tęcza**

## Tajga Uralu (3)

**P**owoli podchodzimy w kierunku szczytu. Mansowie są już o kilkaset metrów powyżej nas. Zaskakująca jest ich prędkość poruszania się po terenie górzystym. Swoimi małymi krokami idą pod górę z taką łatwością, z jaką my poruszamy się po równinie. Świeci południowe słońce, staje się ciepło. Zdejmujemy swetry, a w koszulach zataczamy rękawy. Strefa tajgi kończy się na wysokości 700 m. Znajdujemy się w tundrze górskiej. Po ziemi wije się karłowata brzoza z poźółkłymi listeczkami wielkości ziarna fasoli. Na kamieniach rośnie biały chrobotek reniferowy. Wokół prawdziwa naturalna plantacja czarnych jagód. Nie możemy oprzeć się ich ilości i wielkości. Co chwila przystajemy i garściami zrywamy dorodne i smaczne jagody. Spoglądam w kierunku, skąd przybyliśmy. W dole po głazach przelewają się wody wartkiego strumienia, dalej widnieje las brzozowy, w którym stoi jurta masyjska, jeszcze dalej rozpoczyna się granatowa tajga i uchodzi hen, w nieskończoność.

Jeszcze sto metrów – i jesteśmy przy szałasie z gałęzi. Mansowie pokazują skóry zabitych renów. Proszę o rogi na pamiątkę. Jeden z pasterzy wyjmuje zza pasa nóż i odcina żądanej wielkości podarek z porzuconych na ziemi rogów. Podziwiamy ostrość noża, z czego Mansowie są zadowoleni. Wyrażamy chęć sfotografowania żywych reniferów. Jeden z pasterzy wypowiada kilka słów do psa. Daleko, na tle śnieżnego pola widzę dwa renifery. Po chwili są one już przy nas, doprowadzone przez psa. Spostrzegam, że zwierzęta utykają. Mansowie objaśniają, że w stadzie zapanowała jakaś choroba, przeciwko której nie znają lekarstwa. Zmuszeni byli zabić już wiele renów.

Upływa kilka kwadransów męczącej wspinaczki z ciężkimi plecakami i znajdujemy się na szczycie Gumpkapaj (1152m), w miejscu, gdzie zbiegają się granice Republiki Komi oraz obwodów świerdłowskiego i permskiego, na sześćdziesiątym drugim równoleżniku, bardziej na północ niż Leningrad i Helsinki. To już strefa letnich białych nocy. Szkoda, że nie znaleźliśmy się tu w czerwcu. płaski szczyt pokryty jest kamieniami, białymi od chrobotka. W szczelinach usadowiły się wątle gałązki brzozy karłowatej, płożącej się po ziemi. Co kilkaset metrów rozsiane są jakieś dziwne budowle kamienne, wysokości trzech do czterech metrów, przypominające ruiny średniowiecznych zamków. Podchodzę do jednej z „budowli”. Widzę, że jest to skalny świadek dalekiej przeszłości starego Uralu. Stoję w zadumie, pełen podziwu dla przyrody i jej tworców. Mansowie pokazują nam górski strumień po drugiej stronie Uralu. Oto początek Wiszery – rzeki, wzdłuż której wiedzie nasza droga z powrotem do cywilizacji.

Każdy z nas przed wyruszeniem na wędrowkę przedstawiał sobie po swojemu cel wyprawy, to jest grzbiet uralski. Wszyscy jednak zgodnie byli przekonani, że granica Europy i Azji jest namacalna, że potrafimy dokładnie ustalić jej położenie. Tymczasem stoimy teraz na płaskim szczycie i właściwie nie wiemy, w jakiej części świata jesteśmy. Ale długo nie możemy roztrząsać tego filozoficzno-geograficznego zagadnienia. Oto szybko nadciąga czarna chmura. Po chwili znajdujemy się już we mgle i doświadczamy na sobie przyjemności drobnego deszczu. Nakładamy swetry i sztormówki z kapturami. Żegnamy się z gościnnymi Mansami i prędko schodzimy w dół. Zbocze góry zamienia się w szeroki strumień wody deszczowej. Mokniemy, jednocześnie od góry i od dołu. Przypadek z deszczem urósł do rangi symbolu: Azja pożegnała nas słońcem, a rodzinna Europa powitała deszczem. Odtąd deszcz towarzyszył nam bardzo często.

### Brzegiem Wiszery

W namiot uderzają drobnutki kropelki deszczu. Ścianki i daszek od wewnątrz pokryte są wilgocią – skroploną parą naszych oddechów. Z sąsiedniego namiotu dobiega głos Hali, czytającej smętne wiersze Jesienina, które dziwnie harmonizują z naszą obecną sytuacją i nastrojem. Postanowiliśmy dzisiaj zrobić jednodniowy odpoczynek. Postanowienie to zrodziło się raczej z konieczności niż z chęci nabrania sił. Dmie bowiem silny wiatr, jest nadzwyczaj zimno, a w dodatku drobny deszczyk potrafi przeniknąć przez wszystkie koszule, swetry i wiatróvky. Staram się wykorzystać pierwszy i ostatni dzień przerwy na zanotowanie spostrzeżeń i napisanie listów, które będą mogły być wysłane

chyba dopiero za tydzień. Szkoda, że pogoda przykuła nas do miejsca i odebrała chęć zachwycania się pięknnością przyrody. Od wschodu na gołym kamienistym szczycie widnieje świadek skalny niby ruiny starodawnej twierdzy. Po przeciwległej stronie, za głębokim wąwozem, leży płaskowyż, pokryty jedynie mchem. Kłęby chmur co chwila zasłaniają go przed nami. Na północy za mgłą skrywa się od naszego wzroku szczyt Gumpkapaj. A z południowej strony w dole rozciąga się gęsta tajga, przez którą przebija się Wiszera. Po południu dyżurujący dzisiaj Witia zdobywa się na prawdziwe bohaterstwo. Nie zważając na chłód, wiatr i deszcz ustawia szałas z wyrąbanych gałęzi świerkowych i rozpała pod nim ognisko, używając do tego celu kory brzozy. Czeka nas smaczna wieczerza.

\* \* \*

Wiatr ucichł, deszcz wciąż pada. Nie możemy tracić cennego czasu. Ruszamy brzegiem Wiszery. Na naszej drodze ciemne chaszczki, mokra wysoka trawa, wiatrołomy, poplątane gałęzie i korzenie wyrwanych drzew, strumienie, które przechodzimy w bród, nie zdejmując obuwia – przecież i tak jest ono zupełnie mokre. Dzięki dużej ilości opadów po europejskiej stronie Uralu wspaniale rozrosły się paprocie metrowej wysokości. Pod nogami mamy nieprzerwaną łąkę czarnych jagód. Niekiedy kilometrami grzęźniemy w bagnach, to znów przekradamy się wśród zarośli górskiego zboża. Na domiar złego oziębilo się i spadł pierwszy śnieg. Bardzo nas zdziwiła bujna zielona trawa, pokryta białą warstwą śniegu w dniu 1 września. Cóż, znajdujemy się na Uralu Północnym.

\* \* \*

Nareszcie słoneczny dzień. Wstępuje w nas rzeźkość i wesołość. Nie poddamy się tajdze! Wrócimy do cywilizowanego świata. Przerwa obiadowa. Przysiadamy na kamieniach górskiego strumienia. Zmniejszone ze względów oszczędnościowych porcje żywności szybko znikają. Rozchodzimy się po polu czarnych jagód. Właśnie jestem zajęty zbieraniem jagód, gdy słyszę słowa Hali: „Popatrzcie, turysta!”. Rzeczywiście, stoi przed nami prawdziwy turysta: w kombinezonie, z wypchanym plecakiem. Po chwili podchodzi jeszcze sześciu. Powitania, wesołość, radosne okrzyki. Turysty uniwersytetu w Permie wyszli w pieszą wędrówkę również z Wiżaju, podobnie jak my, ale ich trasa była krótsza i leżała na południe od naszej. Wiodła wzdłuż rzeki Północna Toszemka, na południe od szczytu Czistop i przez Ural do Wiszery. Przedwczoraj zauważyli nasze ślady. Postanowili dogonić nas. Przyjemnie w bezludnej tajdze spotkać człowieka. Staje się on przyjacielem, rozdzielającym trudy pieszej podróży, pomagającym w zmaganiu się z dziką przyrodą. Od tej chwili permscy turyści stali się dla nas nieodłącznymi towarzyszami wędrówki.

Nad czystowodną Wiszerą stoją cztery namioty. Obok strzela w niebo ogromne ognisko: płoną grube pnie drzewne, porozcinane na dwumetrowe kłody. Ogień oświetla twarze trzynastki turystów siedzących półkolem. Wieczorem płyną w ciszy spokojne piosenki permskich turystów, później wesołe i śpiewne pieśni rosyjskie. Do głosu dochodzą turyści Politechniki Kijowskiej. Rozbrzmiewają melodyjne tkliwe piosenki ukraińskie, lecą w dal z trzaskiem ogniska i szumem rzeki. Turyści różnych narodowości, z odległych miast, połączeni chęcią poznania tajgi uralskiej, przy wspólnym ognisku gawędzą i śpiewają. Jest coś symbolicznego w tym studenckim biwaku.

\* \* \*

Piękny pogodny dzień. Niebo czyste, błękitne. Las tonie od rana w powodzi promieni słonecznych. Przyroda nabiera dziwnego uroku, lekkości kształtów, przezroczystości struktury. Trudno opisać piękno barw jesiennej szaty Uralu. Ciemnozielone, z błękitnym odbłaskiem świerki, jaskrawozielone jodły, rozłożyste i pełne powagi stare limby, a między nimi nieśmiało wciśnięte złotolistne brzożki... Wysokie, przezroczyste w promieniach słońca paprocie skrywają nas prawie całkowicie, soczyście zwilżając odzież i plecaki, to znów rozstępują się, odkrywając szemrzące strumyki, które pędzą z ogromną szybkością. Zieleń lasu kończy się. Przed nami żółtozielone, pomarańczowe i czerwone polanki, porośnięte śnieżnobiałymi brzożkami. Pod nogami bulgoce woda, z góry przypieka słonko, a w duszy radośnie i ciepło. Z daleka słychać szum górskich strumieni. Wartkie i gwałtowne z hukiem przetaczają wodę po wymytych do czysta głazach. Cudowny jest uralski kraj! Wiele piękna odkrywa on przed każdym, kto piechotą przemierza jego bezkresne obszary.

*Cdn*

Krzysztof Pik

## Rusza rowerowy GPS w Kotlinie Jeleniogórskiej

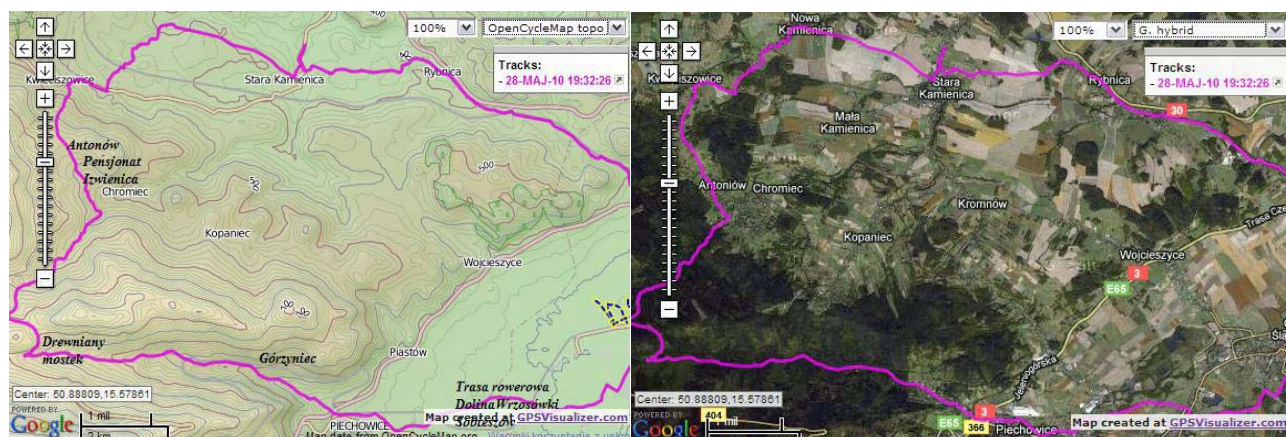
**D**zięki Karkonoskiej Agencji Rozwoju Regionalnego i bezpośredniego zaangażowania prezesa Grzegorza Rychtera jeleniogórskie Towarzystwo Kolarskie otrzymało profesjonalny turystyczny GPS, który wraz oprogramowaniem *garmina* będzie służył do wytyczania ciekawych tras rowerowych. W znacznym stopniu ułatwi on cyklistom poruszanie się po Rudawach Janowickich, gdzie nawet z dobrą mapą można łatwo zabłądzić. Podobnie, jak my, zrobili to wcześniej nasi południowi sąsiedzi Czesi i koledzy z Poznania. Trasy rowerowe w postaci śladów GPS z opisami będą publikowane na stronach internetowych Karkonoskiej Agencji Rozwoju Regionalnego oraz nowej stronie I-KTK-N. W naszym kraju jest to pierwszy ogólnodostępny program turystyki rowerowej GPS. Nasza propozycja jest bardzo prosta: nie wymaga wgrzywania do komputera programu MapSource oraz map tipo lub topograficznych. Skorzystaliśmy ze strony internetowej GPS Visualizer.

### Wizualizer GPS: Do-It-Yourself Mappi

GPS Visualizer jest bezpłatnym, łatwym w użyciu narzędziem *online*, który tworzy mapy i profile z danych GPS (ścieżek i punktów, w tym plików GPX), trasy jazdy, adresy lub po prostu współrzędne. Użyj go, aby zobaczyć gdzie byłeś, plan, gdzie idziesz, lub wizualizacji danych geograficznych (lokalizacje firm, obserwacje naukowe, imprezy, klienci, nieruchomości, geograficzne oznaczanie zdjęć, GPS rysunek itp.).

### Jak to działa?

Dla przykładu posłużyłem się wytyczeniem śladu GPS za pomocą urządzenia Oregon 550t i przejechałem trasę przez Rybnicę, Starą Kamienicę do Antonowa i z powrotem przez Góry Izerskie Górzyniec, Piechowice, dolinę Wrzosówki do Cieplic. Ślad GPS tej trasy można pobrać z linku „Trasa rowerowa na jabłecznik do Antonowa” ze strony I-KTK-N. Ślad zapisujemy na komputerze lub wgrzywamy na komputer. Dla zobaczenia śladu na mapach, musimy zamieścić plik naszego śladu, korzystamy ze strony GPS Visualizer. Po wgraniu do tabelki **Prześlij plik GPS**, oglądamy ślad na dowolnych mapach lub z satelity. Wszystko wymaga jednak dopracowania. Trasy muszą być opisane i ze zdjęciami poszczególnych ciekawych miejsc. Sezon rowerowy przed nami, wszystko jest do zrobienia. Proponuję wybrać się i wytyczyć interesujący szlak rowerowy na Halę Krzyżową i Wołek w Rudawach Janowickich, gdzie Krzysztof Ścibor postawił trzy krzyże w tym miejscu, jeden wysokości 32 m. Więcej na temat GPS rowerowy w regionie jeleniogórskim napiszę w oddzielnej publikacji.



# Jak widzą Kraków w Europie?

**Czy Kraków kojarzy się z czymś branży turystycznej w Europie? – wyniki badań „Turystyka w Krakowie 2010”.**

W 2009 r. opublikowaliśmy raport „Turystyka w Krakowie 2009”. W 2010 r., zgodnie z zapowiedziami, kontynuujemy badania. Szczegółowy opis badań znajduje się na stronie [www.turystykawkrakowie.pl](http://www.turystykawkrakowie.pl). Udało się zakończyć i podsumować pierwszą część badań – badania na targach ITB w Berlinie. Z pomocą studentów AWF i UEK w Krakowie zebraliśmy i przeanalizowaliśmy 255 ankiet nt. odbioru marki Kraków przez branżę turystyczną w Europie. Załączam parę ciekawych danych uzyskanych w badaniu. Szczegółowy raport powstanie po realizacji wszystkich trzech części badania, natomiast niektóre dane już teraz dają do myślenia. Bardzo proszę również o poinformowanie opinii publicznej o ankiecie, która jest drugą częścią badania i znajduje się na stronie [www.surveygizmo.com](http://www.surveygizmo.com) i [www.turystykawkrakowie.pl](http://www.turystykawkrakowie.pl). W tej części badamy odczucia Polaków na temat marki Krakowa.

## Oto parę ciekawych liczb z badania na Targach ITB Berlin

Przebadano w sumie 255 osób. Struktura próby była tak dobrana, by możliwie najlepiej odwzorować strukturę demograficzną Europy. Najwięcej respondentów pochodziło z Niemiec, Włoch, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii oraz Francji. Wszyscy byli przedstawicielami branży turystycznej, stąd ich wiedza była na pewno większa niż przeciętnego Europejczyka. W sumie w próbie znaleźli się przedstawiciele 28 państw. Respondenci oceniali atrakcyjność turystyczną 30 europejskich miast. Najwyższą ocenę (w skali 0-10) uzyskał Paryż – średnio 8,5 – następnie Barcelona, Londyn i Rzym po 8,3 i Berlin 7,8. W środkowo-wschodniej Europie najwyższą ocenę uzyskały Praga 7,3 i Budapeszt 6,4. Kraków znalazł się na 24 pozycji ze średnią 5,8, a Warszawa ze średnią 5,4 na miejscu 26. Bratysława – stolica naszego południowego sąsiada, uzyskała średnią 5,1. Kraków przegoniły m.in. takie miasta, jak Mediolan, Nicea, Bruksela, Salzburg, Monachium i Sewilla. W drugiej części ankiety w pytaniach bezpośrednio o Kraków okazało się, że: 80% respondentów słyszało o Krakowie, ale 20% nigdy o nim nie słyszało (przypominam: byli to przedstawiciele branży turystycznej). 80% mówiło, że Kraków leży w Polsce, 17% nie wiedziało gdzie, po 1% podawało Czechy, Ukrainę i Rosję. 9% respondentów było kiedyś w Krakowie. 55% nie miało żadnych skojarzeń z Krakowem, gdy mieli podać je z głowy. 21% wpisało Wawel jako pierwsze skojarzenie z Krakowem, 10% Stare Miasto, 9%



**Gołębie na krakowskim rynku. Fot. Piotr Dacko**

Rynek Główny. Gdy respondentom dano do wyboru pewne skojarzenia (mogli wybrać 3), najczęściej wskazywali oni: Wawel 33%, Jana Pawła II 30% i Historię 28%. Przy wskazaniu konkretnych zabytków/miejsc (respondenci dostawali listę miejsc, mogli wskazać 3) najczęściej wybierano: Wawel 34%, Muzea 33%, Kościoły 31%. Mimo listy, którą mieli przed sobą, w dalszym ciągu 19% nie kojarzył się Kraków z niczym, a 30% nie było w stanie wybrać żadnego miejsca/zabytku charakterystycznego dla Krakowa.

Proszę pamiętać, że badania miały charakter pilotażowy i odbywały się wśród przedstawicieli branży turystycznej.

Jacek Jakubiec

## Kolejny krok „Czarne”

**W** dniu 26. maja br. w jeleniogórskim Dworze „Czarne” odbyło się pierwsze, założycielskie zebranie **Międzynarodowego Stowarzyszenia Kultury Ekologicznej „DWÓR CZARNE”**. Taka jego nazwa została przyjęta po żywej dyskusji, odwołującej się do czasu narodzin obywatelskiego ruchu ekologicznego w Jeleniej Górze, jeszcze z początku lat 80. Cele i model funkcjonowania nowej organizacji przedstawił przybyłym z Polski, Niemiec i Czech uczestnikom spotkania wybitny ekspert-ekolog Dieter Brandt z Drezna. Stowarzyszenie, którego członkami jego zdaniem powinny być zarówno osoby fizyczne, jak i prawne, ma dać efektywne wsparcie, także finansowe, dla realizacji kompleksowego programu Fundacji Kultury Ekologicznej, związanego z zabytkowym zespołem Dworu „Czarne”.

W żywej dyskusji nad ideą stowarzyszenia, którą poprowadził prof. Tadeusza Borys, nawiązano do innej, historycznej już inicjatywy obywatelskiej, jaką było utworzone w 1880 r. „Riesengebirgsverein” (Towarzystwo Karkonoskie). Jego dorobek jest powszechnie znany. Projekt „Dwór Czarne”, choć ma inny charakter, może równie znacząco wpłynąć na rozwój regionu. Lista założycieli nowego stowarzyszenia liczy 25 osób. Napływają dalsze deklaracje członkostwa, także od osób i instytucji zagranicznych. Przygotowanie ostatecznej wersji statutu oraz przeprowadzenie procedury rejestracyjnej jest zadaniem komitetu założycielskiego, w skład którego weszli:

Ingo Giers, Jacek Jakubiec, Tadeusz Lewandowski, dr Jerzy Ładysz, Jerzy Nalichowski, Marek Nałęcz-Socha, Grzegorz Rychter i prof. Tomasz Winnicki. Osoby i instytucje, bliżej zainteresowane tą inicjatywą, proszone są o kontakt z Fundacją Kultury Ekologicznej.

Strona internetowa: [www.dworczarne.pl](http://www.dworczarne.pl)



*Fot. Krzysztof R. Mazurski*



Juliusz Wystouch

## Z dobytkiem na plecach

**D**awno, dawno temu, ale nie w odległej galaktyce, problemów z plecakami nie było. W naszym kraju panowały brezentowe tzw. dupniaki, a były dwa podstawowe rodzaje: bez stelaża i na drucianym stelażu. Te drugie były mniejsze z dwiema kieszeniami i większe z trzema kieszeniami. Turysta wchodząc do sklepu nie miał bólu głowy z nadmiaru wrażeń i konieczności wyboru. Ten stan zaczął się zmieniać w latach 1973-1974, kiedy pojawiły się plecaki na aluminiowym stelażu – nosiłkach. Było to parę modeli królujących na szlakach, a raczej na plecach turystów do końca wspomnianej dekady, po czym weszły do użycia plecaki ze stelażem wewnętrznym. Pierwszym był EWEREST, model uszyty na zimową wyprawę uwieńczoną pierwszym zimowym wejściem na tę górę. Wszedł on wkrótce potem do seryjnej produkcji. Potem pojawiły się firmy tzw. polonijne i prywatne oferujące coraz więcej, coraz ciekawszych i lepszych plecaków. Dotychczasowy monopolista, czyli grupa POLSPORT, też starała się, jak mogła, dorównywać kroku nowym rozwiązaniom, tendencjom i technologiom.

Dziś wchodząc do sklepu ze sprzętem turystycznym dostajemy oczopląsu od mnogości modeli, wzorów, kolorów. Jednocześnie na różnych forach nie brak pytań typu „*wybieram się w góry, jaki plecak jest najlepszy?*”. No i mnożą się odpowiedzi, że najlepsze są z takiej firmy, albo z takiej. Powinniśmy kierować się jedną podstawową zasadą – nie kupować w „sklepach wielkopowierzchniowych”, w których roi się od sezonowego towaru przeważnie z „Państwa Środka”. Wiele (choć nie wszystkie) plecaków tego pochodzenia jest warta rzeczywiście tyle, ile kosztują, a ich ceny często są porażająco niskie. Można być pewnym, że równie niska jest ich jakość. Podobnie rzecz ma się z rowerami, wieloma zabawkami itp. Dlatego na takie zakupy może zdecydować się tylko osoba mająca już doświadczenie i potrafiąca ocenić produkt (plecak) na podstawie posiadanej wiedzy.



**Sprzęt wyprawy 1983**

Najlepiej kupować w specjalistycznych sklepach sportowo-turystycznych. Ich personel stanowią najczęściej ludzie sami parający się turystyką górską bądź dziedzinami pokrewnymi. Przed wizytą w sklepie warto się zastanowić, co konkretnie chcemy w górach robić. Czy będzie to klasyczna wielodniowa wędrówka w niewysokich górach, czy turystyka wysokogórska, czy wycieczki jednodniowe. A może turystyka zimowa? Kiedyś rodzaj uprawianej turystyki górskiej nie miał większego znaczenia, bo turysta miał do dyspozycji 2-3 modele, więc chodził z tym, co było. Niektórzy przerabiali plecaki dorabiając jakieś własne „patenty”, wspinacze kupowali „horolezki” w ówczesnej Czechosłowacji, bardzo nieliczni przywozili coś z Zachodu. Teraz trzeba wybierać spośród plecaków o różnym przeznaczeniu. Jednak nie rozdrabniajmy się. Podstawowe grupy to plecaki wycieczkowe, wyprawowe, wspinaczkowe i rowerowe. Mnogość modeli i podaż sprawiają, że powoli spadają ceny tych wyrobów. Już nie trzeba wydawać majątku na porządny plecak.

Amator **jednodniowych letnich wycieczek** powinien zadowolić się niewielkim plecakiem o pojemności 30-35 litrów. Taką pojemność mają także plecaki tzw. miejskie, jednak ich kształt i budowa nie odpowiadają potrzebom turysty w górach. Są przeważnie jednokomorowe, mają jedną kieszeń, co nie ułatwia właściwego pakowania. Podobnej wielkości plecaki wycieczkowe, nawet jednokomorowe mają dwie, trzy kieszenie, zamki lepszej jakości i często pokrowiec przeciwdeszczowy uszyty u

dołu plecaka, schowany w specjalnej kieszonce. Także wszelkie klamry są dobrej jakości, często oprócz zwykłych kieszeni doszyte są kieszonki z elastycznej siatki. Służą one do włożenia butelki z napojem, mapy czy innego drobiazgu, który można wyjąć z kieszeni bez zdejmowania plecaka. Poza tym każdy porządny plecak ma pas biodrowy, rzecz ważną i wielce przydatną. Często w pasie umieszczone są niewielkie kieszonki. Zmieścimy w nich telefon komórkowy, klucze, kompas, jakieś plastry, paczkę chusteczek czy dropsy. Plecaka o takiej budowie warto szukać w sklepie. Wiedząc, jakie elementy ubioru zabieramy na wycieczkę (kurtka, sweter, polar, jedzenie, napój...) i ile miejsca zajmują, dobieramy plecak o odpowiedniej wielkości. Jeśli planujemy rozszerzenie działalności na jesień i zimę, musimy przewidzieć zapakowanie wyposażenia właściwego do pory roku. Zwłaszcza **turystyka zimowa** wymaga nieco większego plecaka i odpowiednio wyposażonego. Powinien mieć pojemność 40 l, bo trzeba zmieścić więcej rezerwowej odzieży i dodatków, mieć pętlę do przypięcia czekana, jeśli celem wycieczek są wyższe góry. Wskazany jest plecak dwukomorowy (nie licząc kieszeni). Ułatwia to dokładniejsze pakowanie i wygodniejszy dostęp do wnętrza. Na mrozie i wietrze łatwość otwierania plecaka i szybki dostęp do wnętrza są bardzo ważne. Doceniają to ci wszyscy, którzy musieli zgrabiętymi dłońmi dokopać się do suchych rękawiczek czy termosu z gorącą herbatą, albo dodatkowego polara.

**Klasyczna wielodniowa wędrownica** po górach niskich i średnich (Sudety, Beskidy) wymaga plecaka o pojemności nie mniejszej niż 60 l. Doświadczony turysta jest w stanie spakować się nawet w 45., jeśli zaplanuje wszystkie noclegi w schroniskach, korzysta ze schroniskowej pościeli, ewentualnie weźmie letni śpiwór zajmujący niewiele miejsca. Zdaje się także na schroniskowy wikt. Tak niewielki plecak determinuje minimalizm w wyposażeniu, ale jak się chce, to można. Nieco trudniejsza turystyka w wyższych górach, bądź na terenie o skromnej bazie noclegowej wymaga zabrania lepszego śpiwora, karimaty, przyborów kuchennych i zapasu jedzenia. W tym wypadku zaczynamy od 75 l pojemności. Typowy plecak wyprawowy ma dwie komory, dwie-trzy kieszenie, dużą klapę wierzchnią, komin umożliwiający zwiększenie pojemności, gdy to konieczne, paski pozwalające na przytroczenie karimaty lub namiotu, pętlę u dołu do wpinania czekana lub kijków. To dziś standard. Dobierajmy plecak także odpowiednio do swojej postury. „90.” na plecach osobnika mierzącego 162 cm nie tylko wygląda nieco dziwnie, ale zwyczajnie trudno jest wyregulować układ nośny plecaka do tak niewielkiego ciała. Zresztą zapakowany po czubek tak wielki wór będzie zmorą dla niewielkiego wzrostem użytkownika. O właśnie. Kupując plecak poprośmy personel o obciążenie i wypchanie go, aby nabrał „pełni kształtów” i trochę ważył. Tak przygotowany plecak trzeba na miejscu w sklepie



**Własny patent – plecak „hybrydowy”.  
Krzyżówka „dupniaka”  
z nosiškami**

dostroić, dopasować do sylwetki. Trzeba sprawdzić wszelkie regulacje, wysokość zawieszania pasów, skuteczność pasa biodrowego, który nie może luźno wisieć, tylko powinien dość ciasno opinać biodra. Kupno plecaka nie może polegać na zdjęciu z półki i zaplaceniu w kasie. Wybór jest wielki, a więc kupujemy rozsądnie. Dobry i odpowiednio dobrany plecak posłuży wiele sezonów.

**Obrazek typowy dla lat 80.**

## Przechowywanie i konserwacja znaczków metalowych

Przy należyтым przechowywaniu znaczków należy uwzględnić cztery podstawowe zasady:

1. znaczek nie może ulegać uszkodzeniu,
2. w każdej chwili powinien być łatwy do odszukania,
3. całość kolekcji powinna być przejrzysta i łatwa do oglądania, selekcionowania itp.,
4. magazynowanie znaczków powinno mieć powyższe trzy cechy, nie powinny one zajmować zbyt dużo miejsca.

Ze sposobów przechowywania możemy wyróżnić następujące cechy:

- luzem w pojemnikach – brak wszystkich czterech zasad przechowywania,
- luzem w specjalnych szafkach (szufladach) – brak częściowo zasady trzeciej i czwartej, gdyż należy wykonać specjalną szafę, a przy dużej kolekcji ma ono znaczne wymiary,
- na proporczykach lub bieżnikach; przy tej metodzie znaczki są narażone na działanie czynników zewnętrznych, tzn. kurzu, wilgotności oraz mechaniczne uszkodzenia, poza tym potrzebne są duże powierzchnie ścian,
- albumy fotograficzne; typowe albumy posiadają zbyt cienkie, a tym samym wiotkie kartki do mocowania ciężkich znaczków, przy tej metodzie możemy nie zachować pierwszej zasady,
- karty albumowe wykonane z twardej tektury spięte w większe albumy np.: segregatory z przekładkami.

Poza wymienionymi sposobami przechowywania mogą być inne, także właściwe, jeżeli spełniają wyszczególnione zasady. A co robić w przypadkach uszkodzeń znaczków metalowych? Uszkodzenia emalii szlachetnej na znaczkach – uzupełnianie lub wymianę należy powierzyć zakładom grawerskim. Uszkodzenie emalii olejnej lub nitro można zlecić do zakładu lub wykonywać samemu. Przy wykonywaniu we własnym zakresie należy usunąć starą powłokę i położyć nową pędzelkiem, dobranym kolorem uzupełnić braki. Jednak dobranie identycznego koloru jest bardzo trudne, dlatego lepiej jest usunąć stary kolor i nałożyć taki sam lub podobny na całej powierzchni. Powierzchnie pod malowanie należy dokładnie oczyścić, następnie odtłuścić (myjąc rozpuszczalnikami). Farbę (najlepiej renowacyjną) наносimy małym pędzelkiem cienką warstwą. Całą płaszczyznę należy następnie pokryć lakierem zabezpieczającym.

**Zmiana kształtu znaczków.** W tym przypadku należy mu nadać kształt pierwotny w sposób nie powodujący uszkodzenia płaszczyzny znaczka. Wykonać to należy młotkiem gumowym, drewnianym itp. Przy znaczkach pokrytych emalią przy zmianie kształtu najczęściej następuje uszkodzenie i wypadnięcie emalii. W tym przypadku po przywróceniu prawidłowego kształtu



należy uzupełnić emalię jednym z podanych sposobów. Brak uchwytu do mocowania znaczka (brak szpilki, agrafki lub śrubki z nakrętką). Najprostszym sposobem, niepowodującym uszkodzeń znaczka, jest przyklejenie klejem „Distal” lub podobnym jednego z elementów mocujących tzn. szpilki, śrubki itp.

**Usuwanie nalotu z metalu**, z którego znaczek jest wykonany. Najczęściej zakłady produkujące znaczki zabezpieczają jego powierzchnię, ale w większości przypadków na skutek działania warunków atmosferycznych, niewłaściwego obchodzenia się ze znaczkiem powłoka ta ulega uszkodzeniu, co w konsekwencji prowadzi do pokrywania się metalu nalotem. Trwałą powłokę, której nie należy poprawiać i uzupełniać, wykonują niektóre zakłady (np. zakład prowadzony przez P. Musiała w Katowicach czy p. Musiała w Jabłonnej pod Warszawą). W pozostałych przypadkach powłoki są niezbyt trwałe lub brak ich zupełnie. Przy znaczkach, których wygląd jest idealny, należy tylko wykonać powłokę lakierowaną malując pędzlem lub natryskiem znaczek. Najczęściej jednak znaczki, które do nas docierają SA pokryte nalotem i SA niezbyt czytelne. W tym przypadku postępujemy następująco:

- na kawałku flaneli lub filcu nakładamy pastę polerską drobnoziarnistą lub pastę do zębów,
- polerujemy znaczek aż do uzyskania powierzchni, o jaką nam chodzi,
- wycieramy znaczek z pasty,
- bardzo delikatnie myjemy znaczek rozpuszczalnikiem (aby nie rozpuścić farby na znaczku),
- polerujemy znaczek suchą flanelą aż do uzyskania połysku,
- układamy znaczki na tekturce (z dziurkami), tak aby były w poziomie i lakier nie spływał,
- pokrywamy znaczki lakierem; lakier (najczęściej nitro) наносimy pędzelkiem lub najlepiej natryskiem,
- po wyschnięciu znaczki są gotowe do dalszego ekspozowania i przechowywania.

Żadna jednak powłoka nie będzie trwała przy niewłaściwym obchodzeniu się i przechowywaniu znaczków.

*Wyszperat H. P.*



*Jerzy Maciejewski*

## **KOŚCIOŁY OBRONNE OKOLIC WROCŁAWIA (7)**

### **15. Żórawina** – gm. Żórawina

Gotycki kościół obronny p.w. św. Trójcy, wzniesiony ok. poł. XIV w., przebudowany w duchu renesansu latach 1597-1602, restaurowany w 1985 r., należy do najlepszych przykładów architektury manierystycznej na Śląsku. Fundatorami kościoła byli prawdopodobnie mieszczenie jaworscy Fryderyk i Helbold i im to właśnie należy zawdzięczać wzniesienie go na wyspie utworzonej w widłach rzeki Żórawki. Ściany przypominają elewacje późnorennesansowych kamieniczek. Ma się wrażenie, że ktoś „przykleił” je do murów świątyni, zabrawszy uprzednio z rynku jakiegoś małego miasteczka. Pierwotną bryłę gotyckiego budynku wzbogacono dekoracjami w stylu północnego renesansu.

Kościół jest orientowany, murowany, jednonawowy, z prostokątnym prezbiterium, z wieżą od zachodu. Wnętrze nakryte sklepieniami kolebkowymi z lunetami, zachowała się w nim ciekawa polichromia renesansowa z 1600 r., przedstawiającymi m.in. Zmartwychwstanie Zmarłych, Sąd Ostateczny oraz Panny Mądre i Panny Głupie, a także zespół płyt nagrobnych i epitafiów. We wnętrzu zachował się ołtarz główny z 1804 r., ambona z 1597 r. i chrzcielnica z ok. 1600 r.

Kościół wznosi się na cmentarzu, otoczonym umocnieniami ziemnymi, powstałymi w czasie wojny trzydziestoletniej. Fortyfikacje te założono na regularnym planie prostokąta o narysie bastionowym i otoczono głęboką fosą z wodą. Wejście na cmentarz prowadziło od południa przez murywaną bramę, wtopioną w wał. Najprawdopodobniej autorem tych umocnień był znany wrocławski fortyfikator Hans Schneider z Lindau. Obecnie fortyfikacje te są częściowo zniszczone. Cenne wyposażenie świątyni znajduje się w muzeach w Warszawie i Wrocławiu. Muzeum wrocławskie część zabytków przekazało do depozytu do muzeum w Brzegu. Przy południowym wejściu do kościoła ciągle wiszą kuny, czyli rodzaj żelaznych obroży. Zakładano je na szyje złoczyńców, którzy stali przykuci do ścian kościoła, narażeni na gniew i szyderstwa wiernych.

Krzysztof R. Mazurski

## CZESŁAW PISKORSKI W KRĘGU KRAJOZNAWCÓW

**P**oznaniak, a jednak szczecinianin – urodzony bowiem 27.02.1915 r. w Poznaniu najważniejszą część swojego życia Czesław Piskorski związał ze Szczecinem i, szerzej, z Pomorzem Zachodnim. Trafił do tego miasta w 1945 r. wcale nie przypadkowo – będąc w końcu 1942 r. osadzony w obozie koncentracyjnym Mauthausen-Gusen koło Linzu (Górna Austria). Tam już właśnie Piskorski planował – co za śmiałość myśli i dalekowzroczna polityczna przenikliwość!, osiedlenie się po zakończeniu wojny w mieście u ujścia Odry, mieście polskim oczywiście, bo inaczej nie miałyby to sensu. I rzeczywiście tak się stało, co więcej, stał się on nie biernym, zwykłym mieszkańcem utrudzonym życiem w zniszczonym i powoływanym niejako na nowe Szczecinie. Właśnie fakt, że nowe, polskie życie trzeba było tu tworzyć od podstaw, skłoniło Piskorskiego do niezwyklej aktywności. Będąc ekonomistą z wykształcenia (ukończył Wyższą Szkołę Handlową, dzisiejszą Akademię Ekonomiczną w Poznaniu, z dodatkami prawa na ówczesnej Wszechnicy Piastowskiej UAM w Poznaniu, lecz dziennikarzem i krajoznawcą z charakteru (już pierwszą praktykę odbywał w redakcji gazety) rozumiał potrzebę dzielenia się swoją wiedzą z innymi, popularyzowania jej wśród ludzi wyrwanych w tamtym czasie ze swoich „małych ojczyzn”, przybyszów z różnych stron Polski i z zagranicy. Trzeba było ich niejako nauczyć nowego regionu dla mentalnego oswojenia go i stworzenia poczucia bycia u siebie.



**Czesław Piskorski z żoną Urszulą  
w początkach lat 70. nieopodal  
swojego szczecińskiego mieszkania.  
Archiwum domowe**

Przez długie lata o tych Ziemiach Odzyskanych można było mówić i pisać wyłącznie w kontekście polskim i poloników niejako dla stworzenia przekonania o bezdyskusyjnych prawach Polski do tych terenów, które przekazały im wielkie mocarstwa. Dziś taki socjotechniczny zabieg ówczesnych władz jest mocno krytykowany i potępiany jako fałszowanie historii, manipulowanie nią i tak dalej. Nie negując zarzutu braku obiektywizmu w przekazie historycznym, należy jednak mieć na uwadze istniejące wtedy uwarunkowania – niepewność co do trwałego włączenia Śląska i Pomorza do Polski, obawa co do wybuchu III wojny światowej, przygraniczne zwłaszcza położenie Szczecina, ale także autentyczny entuzjazm spowodowany przesunięciem granic państwowych na zachód, powrót na ziemię piastowskie, jak wówczas głośzono. To na pewno wyjaśnia taki zabieg i po części usprawiedliwia (choć raczej nie w tak długim okresie). Takie podejście do przeszłości owych terenów zawdzięczał też faktowi, iż uczył się jej dziejów na zabarwionych dużą emocją książkach Wańkowicza, Kisielewskiego i Wasylewskiego, więc wiedzę miał taką jak i oni: Pisarski był przekonany, że to ziemie do niedawna polskie, z ogromną liczbą autochtonów, którzy zostali dopiero co zgermanizowani i należy ich za wszelką cenę chronić. Z czasem jednak odkrywał swoje błędy, czym dzielił się z rodziną przy stole – jak wspomina Jego syn Jan,

dziwić się na przykład, że „Niemcy” byli na Pomorzu już w okresie wędrówek ludów. Pamiętać należy, iż debaty między autochtonistami a allochtonistami (zwolennikami koncepcji miejscowego lub napływowego pochodzenia) właściwie wtedy nie było, gdyż wszyscy byli zwolennikami autochtonizmu Słowian na ziemiach zachodnich.

W nurt tworzenia więzi z nową „małą ojczyzną” – jak dzisiaj się mówi: lokalnych korzeni, niezbędnych do wykształcenia patriotyzmu lokalnego, a przez to patriotyzmu ogólnonarodowego, włączył się i Czesław Piskorski nie tylko podejmując tematykę regionalną jako publicysta, ale i współorganizator bazy wydawniczej. Mianowicie już w sierpniu 1945 r. współtworzył on spółdzielnię wydawniczą „Polskie Pismo i Książka” i jedną z pierwszych w tej części „nowej” Polski gazetę „Pionier Szczeciński” jako instrumentu ułatwiającego dotarcie do bardzo szerokiego kręgu społeczeństwa. Znając go z późniejszych lat autor może wyobrazić sobie dylematy twórcze: z jednej strony dążność do obiektywnego przedstawiania dziejów, w dużej tu mierze niemieckich, a z drugiej strony – chęć tworzenia polskiego poczucia tożsamości regionalnej i bezpieczeństwa, z czasem coraz silniejszego skrupowania cenzuralnego.

Od czasów studenckich Piskorski odczuwał potrzebę identyfikacji grupowej i działania zespołowego. Właśnie na studiach wstąpił do niezwykle szanowanej organizacji uczelnianej, zwanej Konwentem *Lechia* – Korporacją Studentów Uniwersytetu Poznańskiego. Związał się z Polskim Towarzystwem Krajoznawczym jeszcze przed wybuchem wojny, a już w 1946 r. stał się współorganizatorem jego oddziału w Szczecinie, by rychło działać w nim jako wiceprezes. Szczególnie wyróżnił się w sposób trwały w działalności wydawniczej tego Towarzystwa, a następnie i PTTK, stając się jednym z najaktywniejszych autorów serii przewodnikowych. Łącznie z jego warsztatu twórczego wyszło około pięćdziesiąt przewodników i map turystycznych, kilkaset artykułów i notatek prasowych, scenariuszy filmowych, a do tego trzeba jeszcze doliczyć dalsze kilkaset odczytów, prelekcji, wykładów. Zaiste, to imponujący dorobek o dużej doniosłości w szerzeniu wiedzy regionalnej i tworzenia merytorycznych podstaw dla zakorzeniania się nowego społeczeństwa Szczecina i regionu.

Podobna działalność nie mogła nie być zauważona na szerszym forum. W 1957 r. Czesław Piskorski został powołany na kierownika – co znamienne, Sekcji Propagandowej Zarządu Wojewódzkiego Ligi Ochrony Przyrody. W tym samym roku został członkiem Komisji Krajoznawczej Zarządu Głównego PTTK, pracując w niej do 1972 r. (z przerwą w latach 1963-1967). Trudno w tym miejscu wymienić wszystkie inne jednostki samego PTTK, w których udzielał się. A do tego było zaangażowanie w wielu innych instytucjach publicznych, jak choćby w Radzie Naukowej Wolińskiego Parku Narodowego. Równocześnie była przecież i praca zawodowa, w szkolnictwie, w tym Wyższej Szkole Pedagogicznej, uzyskanie doktoratu, kierowanie Oddziałem Instytutu Turystyki.

Objęcie przez autora funkcji wiceprzewodniczącego Okręgowej Komisji Krajoznawczej PTTK we Wrocławiu w 1969 r. dało okazję do bywania na spotkaniach ogólnopolskich, w tym organizowanych przez Komisję, której członkiem był już wiele lat Piskorski. Stworzyło mi to okazję do bezpośredniego poznania jego osoby i nawiązania sympatycznych relacji, w pewnej mierze zbudowanych na podobnym wykształceniu i podobnych problemach krajoznawczych – to, co napisano o (re)polonizacji Szczecina, w pełni należy odnieść do Wrocławia i Śląska. Byłaby to jednak niepełna prawda o tak zasłużonej postaci. Czesław Piskorski wyróżniał się niezwykle swoją osobowością, ale też będąc jednym ze szlachetnego pokolenia krajoznawców polskich, które kolejną losu odeszło już do historii. Obok niego byli to Juliusz Braun,



**Kurator zachodniopomorski Paweł Bartnik przekazuje sztandar szkole im. dr. Czesława Piskorskiego.**  
*Archiwum domowe*

Bronisław Cmela, Ryszard Harajda, Wojciech Lipniacki, Edward Mieroszewicz, Maria Irena Milecka, Tadeusz Rycerski, Jacek Węgrzynowicz – znakomici znawcy, ogromnie oddani idei Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Tak jak i ich Piskorskiego, który odszedł z naszego grona 7.05.1987 r. w Szczecinie, cechowała skromność osobista, wręcz niechęć wyróżniania się (stąd chyba tak mało jest znany poza własnym pomorskim środowiskiem). Kompetentny, ale nienarzucający się swoimi przekonaniami czy przytłaczający wiedzą. Autorytet, ale niegórujący nad innymi, życzliwy i bezinteresowny, pozbawiony chęci dokuczenia komuś czy choćby zaznaczenia swojego negatywnego stanowiska. Skromny, a odpowiedzialny. Z rozmów z nim przeprowadzonych i obserwacji wyniosłem i zachowałem wspomnienie człowieka życzliwego, serdecznego, powiedziałbym – ciepłego. To on i jemu podobni, pokolenie, którego już prawie nie ma, zbudowało wizerunek PTTK jako TOWARZYSTWA, w którym chciało się być i z którym warto było przebywać. Miałem szczęście ich wszystkich poznać, to oni – wraz z Czesławem Piskorskim, stali się dla mnie wzorcem osobowym, jakim starałem się być.

Rozmiar i wymiar działalności tej pięknej postaci jest niezwykle szeroki i barwny, można – ale i trzeba, poznać je w sposób wszechstronny. A to właśnie zadanie i dla krajoznawców. Dzięki takim poczynaniom Czesław Piskorski pozostanie nadal w szeregach krajoznawców jako przyjaciel, wzór i obiekt uznania. Wprawdzie Jego imię zostało utrwalone w postaci patronatu nad różnymi obiektami, w tym bardzo turystycznym, jakim jest Szlak Nadmorski im. Czesława Piskorskiego (stanowi on fragment Europejskiego Szlaku Dalekobieżnego E-9), to zasługi i cechy stanowią podstawę do upamiętnienia Go w całym naszym kraju i stworzenia godnego miejsca w historii polskiego krajoznawstwa. Koniecznie trzeba o to zadbać.



## Tatrzański Park Narodowy

Utworzony w 1954 r. Na granicy Polski i Słowacji wznoszą się najwyższe góry między Alpami i Kaukazem – Tatry. Wprawdzie ani najwyższy ich szczyt – Gerlach (2655 m), leżący po słowackiej stronie granicy, ani najwyższy szczyt Polski – Rysy (2499 m), nie mogą się równać z Mt Blanc czy Elbrusem, ale duże różnice wzniesień, piętrowość klimatu i niezwykle skład gatunkowy fauny i flory sprawiają, że Tatry mają charakter wysokogórski. Powierzchnia Tatr wynosi ok. 750 km<sup>2</sup>, z czego 150 km<sup>2</sup> przypada na Tatry Polskie; reszta to Tatry Słowackie. Rzeki, zaczynające swój bieg w Tatrach Polskich, należą do zlewiska Bałtyku, zaś rzeki biorące początek w tych drugich wpadają do Morza Czarnego. Podział ich na Zachodnie, Wysokie i Bielskie (te ostatnie tylko na Słowacji) jest uzasadniony budową geologiczną. Tatry zaliczane są do gór orogenezy alpejskiej. Ich trzon stanowią skały krystaliczne z granitem, który w niektórych miejscach, np. w Tatrach Zachodnich i Bielskich, jest pokryty dolomitem i wapieniem, z licznymi jaskiniami i innymi zjawiskami krasowymi, sprawiającymi, że okolice te są szczególnie łasym kąskiem dla grotolazów. Doliny zbudowane są warstwowo ze skał osadowych tzw. fliszu. Klimat Tatr, a co za tym idzie ich roślinność, charakteryzuje się piętrowością. Piętro najniższe, czyli regla dolnego, porastają bory świerkowe z domieszką jodły, buka i jaworu. Regiel górny to prawie wyłącznie bór świerkowy. Piętro kosówki (1550-1800) porasta roślinność krzaczasta z przewagą kosodrzewiny. Piętro hal to łąki wysokogórskie z zadziwiająco bogatą roślinnością alpejską. Z tatrzańskich ssaków warto wymienić kozicę, świstaka, a w niższych partiach jelenia, sarnę, rysia i łasicę, no i oczywiście niepisanego władcę tatrzańskich dolin – niedźwiedzia brunatnego. Wśród ptaków króluje orzeł przedni, charakterystyczny jest też pomurnik, gniazdujący w wyższych partiach gór; można go rozpoznać po czerwonych skrzydłach i niezwyklej zdolnościach wspinaczkowych. Zarówno polski, jak i słowacki park narodowy otacza obszar otuliny, na którym dozwolone są niektóre formy działalności rolniczej i gospodarczej. Pewne przejawy tradycyjnej gospodarki rolnej (wypas owiec, koszenie traw) dozwolone są nawet na obszarach pod ścisłą ochroną, co jest o tyle uzasadnione, że działalność taka ma tu wielowiekową tradycję, a zaprzestanie jej może spowodować drastyczne zmiany w ekosystemie. Ze względu na unikatowy charakter tego wysokogórskiego obszaru oba tatrzańskie parki narodowe: polski i słowacki, zostały w 1993 r. wpisane na listę Rezerwatów Biosfery UNESCO.

Krzysztof Tęcza

## Pożegnanie Andrzeja Scheera

**W** sobotę 22 maja br. na cmentarzu w Świdnicy pożegnaliśmy naszego Kolegę Andrzeja Scheera, założyciela i jedyne go prezesa Ogólnopolskiego Klubu Badaczy i Miłośników Krzyży Pokutnych i Rzeźb Przydrożnych przy Oddziale PTTK w Świdnicy.

Pamiętam doskonale ten słoneczny dzień 5.09.1986 r., kiedy spotkaliśmy się na I Biesiadzie Pokutnej. Wydawało się wtedy wielu uczestnikom, że będzie to tylko zwykła impreza, ot, taka ciekawostka. A okazało się, że wszystko było jak najbardziej poważne. Już wtedy było widać, iż Andrzej daleki jest od żartów. Ponieważ spotykałem Go już wcześniej na różnych prelekcjach i pogadankach, z jakimi objeżdżał cały Dolny Śląsk, wiedziałem, jaką dysponuje wiedzą o tych niepopularnych i nieznanym wówczas obiektach, jakimi były krzyże pokutne. Ta pierwsza biesiada w Świdnicy ukazała wszystkim jej uczestnikom możliwości poznawania czegoś nowego. Zobaczyliśmy wówczas, że sami możemy brać udział nie tylko w wycieczkach, ale także w tworzeniu „życia” nowej organizacji. A gdy wieść się rozeszła, jak fajnie było, to na następne biesiady chętnych przybywało coraz więcej. W okresie swojej świetności Bractwo liczyło kilkaset członków. Przyjeżdżali ludzie nie tylko z Polski, ale i z dalszych stron świata. Aby jednak nikt nie myślał, że Biesiada Pokutna to taka rozrywkowa impreza, muszę powiedzieć, że każda, ale to każda z biesiad miała tak bogaty program, że dla zobaczenia wszystkiego, co sobie założyliśmy, trzeba dobrze było się sprzężać i trzymać wyznaczonego programu. Dzięki temu jednak w krótkim czasie członkowie Bractwa, a trzeba wiedzieć, że przyjeżdżały tu całe rodziny, poznały większość z kilkuset zachowanych krzyży pokutnych. Dlatego też rozszerzono poznawanie na inne obiekty. Były to wszelkiego typu rzeźby i figury przydrożne. Obejrzelśmy ich chyba tysiące. Wiele z nich zostało naprawionych przez członków Bractwa. Przy wielu uporządkowano otoczenie. W trakcie istnienia Klubu odkryto także wiele nowych obiektów, a aby prace te czy odkrycia nie poszły na marne, w ramach Klubu wydawano różne publikacje. W sumie ukazało ich się ich kilkaset.

Wieczorami po całym dniu wrażeń zawsze spotykaliśmy się, aby pogadać, wysłuchać prelekcji, a później już w mniejszych grupkach dyskutować, nieraz zażarcie na interesujące tematy. A żeby nie było monotonii, spotykało nas mnóstwo niespodzianek. A to autobus się zepsuł, a to nie dojechał czy zaklinował się pod wiaduktem. Trafiało się też w strefie przygranicznej, że niektórych z uczestników biesiad zamykano do wyjaśnienia za naruszenie granicy państwowej. Przytrafiały się momenty smutne, jak i też wesołe. Trzeba jednak dobitnie powiedzieć: aby wszystkie imprezy odbywały się gładko, wymagało to wykonania olbrzymiej pracy przygotowawczej. Większość ludzi nie wie nic o tym. Ja mogłem doświadczyć tego na własnej skórze. Gdy Andrzej organizował pierwszą biesiadę „międzynarodową”, przez kilka dni nocował u mnie w Zgorzelcu. Z samego rana wyruszyliśmy „maluszkim” na objazdy tras. Te nasze objazdy trwały całe dni i praktycznie kończyliśmy je dopiero wtedy, jak było już tak ciemno, że nie można było sprawdzić. Tak więc była to praca ponad siły przeciętnego człowieka, a przecież Andrzej musiał jeszcze w domu przetrwać zebrane wiadomości i odpowiednio je opracować. A jeszcze pozatapiać sprawy transportowe, noclegowe czy żywieniowe. Przygotować publikacje i inne materiały potrzebne uczestnikom. Myślę, że przeciętny organizator podobnych imprez dałby sobie dawno spokój, a Andrzej zorganizował nam kilkadziesiąt pięknych Biesiad

Pokutnych. I to jest piękne. To jest to, co zapamiętamy. A jakim był Andrzej człowiekiem, niech każdy odpowie sobie sam, we własnym sumieniu. Ja nie będę tego nawet próbował. Myślę, że moje zdanie na ten temat jest zawarte w tych kilku słowach pożegnania, które wypowiedziałem nad grobem Andrzeja, a które pozwolę sobie tutaj przytoczyć:

*Andrzeju, odszedłeś już od nas! Odszedłeś niespodziewanie. Tak niespodziewanie, że nie możemy w to uwierzyć. Ale, niestety, tak to już jest na tym naszym świecie urządzone, że Pan nasz powołuje do siebie w pierwszej kolejności ludzi dobrych, ludzi pracowitych, ludzi dających, a nie biorących. A takim właśnie byłeś człowiekiem, Andrzeju. Byłeś prawdziwym pasjonatą. Twoje zaangażowanie w to, co robiłeś, było niewyobrażalne. Wszystko robiłeś do końca. Nic nie pozostawiałeś przypadkowi. A to wszystko robiłeś przecież głównie dla nas. To Twojej pracy i pasji zawdzięczamy tyle nowego. To dzięki organizowanym przez Ciebie Biesiadom Pokutnym mogliśmy spotykać się i wciąż poznawać, wciąż dyskutować. To dzięki Twojej, Andrzeju, postawie i Twoim działaniom, wśród niektórych z nas pojawił się załazek pasji podobnej Twojej.*

*Teraz, Andrzeju, gdy jesteś już w domu Ojca, w tak zwanym lepszym świecie, świecie, w którym zaznasz spokoju, ciszy i ukojenia. W świecie, w którym nie sięgnie Cię już żadne złe słowo, patrzysz na nas z góry i pewnie cieszy Cię widok tylu zgromadzonych tu ludzi. Przyjaciół i znajomych, koleżanek i kolegów, którzy przyszli Cię pożegnać. Ale zapewne smuci Cię widok pogrążonej w żalu rodziny. Bo, wiem to doskonale, praca dla innych była Twoją pasją, ale najważniejsza dla Ciebie, drogi Andrzeju, była Twoja kochająca Cię rodzina. Twoja żona Iwona, Twoje dzieci i ostatnio Twoje wnuki. Miałeś bowiem to szczęście, że zostałeś dziadkiem. I właśnie dlatego, Andrzeju, patrz tam z góry i bacz, by nic złego im się nie działo. My natomiast, tu na Ziemi, zadbamy o to, by pamięć o Twojej pracy, o tym, czego dokonałeś, nie zanikła. Bo przecież wszyscy, czy chcemy, czy nie, podążamy tą samą ścieżką co Ty. I prędzej czy później spotkamy się z Tobą. Dlatego dbać będziemy o to, byśmy mogli stanąć, jak Ty stanąłeś, przed Ojcem naszym, i byśmy mogli odważnie spojrzeć Ci w oczy i powiedzieć: Witaj Andrzeju.*

*A teraz, drogi Andrzeju, śpij spokojnie, nie zapomnimy o Tobie.*



**Andrzej z żoną Iwoną we Wleniu podczas XX Biesiady Pokutnej, 5.10.1996 r.**

## „Elwro” we wspomnieniu

Wrocławskie Zakłady Elektroniczne „Elwro” powstały w 1959 r. i już po czterech latach uruchomiły seryjną produkcję maszyn cyfrowych UMC-1 (prototyp komputerów, zajmujący całą rozległą ścianę!), potem coraz nowocześniejszych instrumentów, m.in. w 1971 r. kalkulatorów. Stały się one chlubą nie tylko Polski, ale całego obozu moskiewskiego (RWPG). Po prywatyzacji i kupnie przez firmę SIEMENS AG doprowadzono do ich upadku i likwidacji w 1995 r. Warto więc zapoznać się z listem, jaki udostępnił nam wieloletni wrocławianin i pracownik „Elwro”, Zasłużony Instruktor Krajoznawstwa.

*Redakcja*

Kwidzyn, 28.5.2010

Szanowny Panie!

Podziwiam szerokość Pana zainteresowań historycznych. [...] zafrapował mnie Pana ostatni artykuł (Newsweek-Polska Nr 22/2010, str. 82) o wrocławskim „Elwro”.

Otóż ja byłem jednym z pierwszych pracowników „Elwro” – nazwa od Wrocławskich Zakładów Elektronicznych – (sierpień 1959 – 30.04.1963) i z tej racji byłem obecny przy perturbacjach związanych z narodzinami polskiej maszyny liczącej. (Określenie „pamięć bębnowa” zostało mi do dziś.)

Osobę inż. Bilskiego pamiętam (był młody i nie taki, jak na zdjęciu w Newsweek-u), choć to nie on był Głównym Konstrukтором i moim przełożonym. On mnie na pewno nie pamięta, bo to były dwa różne działy. Byłem bezpośrednio zaangażowany przy powstawaniu znaku firmowego „Elwro” i autorem Normy Zakładowej ZN na wzór tego znaku (Odbitkę znaku „Elwro” z oryginału załączam.)

Później działy się bardzo dziwne rzeczy: cała nasza trzyosobowa sekcja normalizacji została rozwiązana, a jej pracownicy zwolnieni. Więc na rozwój zakładu i jego osiągnięcia techniczne patrzyłem już tylko z zewnątrz, ale jeszcze z Wrocławia. Pracowali tam zresztą (niektórzy do końca) liczni moi znajomi, np. jedna matematyczka Jadzia B. Wreszcie w roku 1979 wyjechałem z Wrocławia na stałe.

Ale to nie było jedyne moje zetknięcie się z „Elwro” i jej wyrobem „Odra-1320”. W roku 1969 wymyśliłem i prowadziłem w Oddziale Wrocławskim PTTK seminarium krajoznawcze na temat „Krajoznawstwo współczesne”. W programie tego seminarium nie było wprawdzie wizyty w „Elwro” (ze zrozumiałych względów!), ale zwiedzaliśmy wrocławskie ZETO – Zakład Techniki Obliczeniowej (jeden z dwóch funkcjonujących ówczesnie w kraju) i mogliśmy obejrzeć z bliska jego działalność. Tę wizytę przypomniało mi zdjęcie na str. 82 Newsweeka; tak to mniej więcej



wyglądało. W programie było jeszcze obejrzenie elektronicznie sterowanej nastawni kolejowej na stacji Wrocław-Główny, ale na to kolej już się nie zgodziła.

Adama Urbanka nie pamiętam, ale wspomnieć się godzi inna osobę, mgr. inż. Stefana Ryłskiego, który w tamtych, moich latach (1959-1963) pełnił funkcję doradcy technicznego dyrektora Tarnkowskiego. (A później był twórcą i pierwszym dyrektorem Elektronicznego Centrum Medycyny Pracy we Wrocławiu.)

A jeżeli już padło nazwisko tego ostatniego, to był [on] Żydem (to, jak i zmiana jego nazwiska było publiczną tajemnicą). Istotnie miał żydowską głowę do interesów, zbudował „Elwro” z niczego („Elwro” powstało na terenie Wojskowej Bazy Zaopatrzeniowej, gdzie były tylko parterowe hale magazynowe i żadnego zaplecza technicznego). Przypuszczam, że jego odejście (nie podaje Pan daty tej rezygnacji) nie obyło się bez wpływu wydarzeń antysemickich roku 1968.

To tyle moich uwag do Pana artykułu.

Mile pozdrawiam

*Janusz Zaremba*

.....

*Krzysztof Tęcza*

## OKP stopień brązowy – Szczecin

**W** czerwcem 2009 r. odwiedziłem miasto, w którym się urodziłem, czyli Szczecin. Oczywiście fakt ten bardzo mi pomógł, gdyż bywałem tu wielokrotnie i trochę orientuję się, jak dotrzeć do poszczególnych obiektów. Od razu też dotarłem do Bramy Portowej. Obecnie znajduje się w niej sklep „Cepelia” i taką dostałem pieczętkę. Bez problemu zdobyłem ją w kościele św. Jana Ewangelisty i w archikatedrze św. Jakuba Apostoła, gdzie jest możliwość za 8 zł wjechać windą na wieżę i podziwiać Szczecin z góry. Naprawdę warto. Wokół Pl. Orła Białego znajdują się prawie same banki, szkoły, firmy i instytucje. I właśnie dlatego w dni wolne od pracy mamy małe szanse zdobyć jakąś pieczętkę. Można wtedy podejść do Agencji Turystycznej. W Muzeum Narodowym, mieszczącym się w ratuszu, spotkała mnie niespodzianka. Dostałem nie tylko ozdobną pieczętkę, ale także bilet ulgowy za 5 zł. A na Zamku Książąt Pomorskich trafiłem akurat na piękny ślub oraz na występy zespołów folklorystycznych. Okazało się, że okazją do tych prezentacji były Dni Kultury Ukraińskiej. Po krótkim spacerze dotarłem na Wały Chrobrego i zwiedziłem Muzeum Morskie. I tu także można wejść bardzo ciasnymi i krętymi schodami na wieżę widokową, ale, żeby nie było tak łatwo, schodów tych jest aż 230.

Po tak dużym wysiłku zapragnąłem nieco odpocząć, udałem się zatem nad wodę i dosłownie w ostatniej chwili wsiadłem na stateczek, którym wypłynąłem zwiedzić port. Byłoby to bardzo ciekawie i fajnie, gdyby nie turyści niemieccy. Zachowują się oni bardzo swobodnie i tak głośno, że niewiele słyszałem z informacji podawanych przez głośniki. A dodam, że przyjemność ta kosztuje 22 zł. Rejs trwał dwie godziny, więc zanim dotarłem do samochodu i przejechałem na Cmentarz Centralny, jego administracja była już zamknięta i pieczętkę dostałem w kwiaciarni przed wejściem. Sam cmentarz, wbrew temu słowu, jest ogromnym założeniem parkowym i można tu chodzić całymi godzinami. Pochowano tutaj moją babcię, która przeżyła ponad sto lat. Ostatnim miejscem, które miałem odwiedzić w Szczecinie, było Jez. Szmaragdowe. Zaczęły się jakieś chaszcze, ulica się skończyła, więc zapytałem jakiegoś rybołapa, czy dobrze jadę. Odparł, że jak najbardziej. Tymczasem wjechałem na dwumetrowej szerokości płyty betonowe bez najmniejszej możliwości zawrócenia. A wkoło, jak okiem sięgnąć, same szuwały. Po jakimś kilometrze stanąłem, bo wydawało mi się, że samochód zaczął się kołysać. Nie wierzyłem, ale okazało się to prawdą. Betonówkę ułożono na terenie bagiennym. No to ładnie, pomyślałem sobie. Wystarczy teraz, żeby ktoś nadjechał z przeciwnika. W oddali zobaczyłem nasyp z mostem, a właśnie on był moim celem. Docisnąłem gazu i tylko patrzyłem, czy nic nie jedzie z drugiej strony. Cały czas czułem lekkie uginanie płyt. Miałem jednak szczęście i po kilkunastu

minutach wyjechałem na normalną drogę. Nawet nie myślałem, że tak bardzo się ucieszę na widok asfaltu. Przy jeziorze znajduje się stylowy zajazd o nazwie „Smaragd”. Mimo dużego tłoku (miało tu miejsce przyjęcie weselne) panie z obsługi znalazły chwilę, żeby podstemplować moją kronikę. Spacerując wokół jeziora zauważyłem jakiegoś człowieka. Wyglądał on na tyle nietypowo, że zagadnąłem go. Była to osoba opiekująca się nietoperzami zimującymi w podziemiach, jakie tutaj pozostały.

Rano dotarłem do Stargardu Szczecińskiego, gdzie obejrzałem kościół NMP Królowej Świata.

W Pyrzycach pospacerowałem wzdłuż murów miejskich, przy których co kilkadziesiąt metrów ustawiono tablice informacyjne z opisami. Bardzo to usprawniło zdobycie informacji na temat tego, co właśnie oglądamy i faktów historycznych. Żeby tak było wszędzie! W Boryszynie koło Świebodzina znajduje się Podziemna Trasa Turystyczna Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego „Pętla Boryszyńska”. Jest ona mniej znana, ale chyba ciekawsza. Ja miałem farta. Trafiłem na grupkę ludzi, jak się później okazało – fascynatów próbujących coś zrobić dla tego miejsca. Przyhamowałem więc i dosiadłem się do nich, aby pogadać. Zajęło mi to prawie dwie godziny, ale warto było. Zaproszono mnie na zwiedzanie podziemi, a pan z kasy powiedział mi po cichu: lepszego przewodnika nie mógł pan trafić. I faktycznie to, co zobaczyłem i usłyszałem, było fascynujące. Myślę, że kiedyś jeszcze skorzystam z tej nowej znajomości. Na koniec wytłumaczono mi, jak mogę pojechać na skróty do Łagowa. Droga była niby brukowana, ale po bruku toczyło się tylko jedno koło. Drugie ginęło gdzieś w trawie. A wokół tylko krzaki i drzewa. Jechałem jednak dosyć szybko i w pewnym momencie patrzę, a tu z przeciwka jedzie jakiś maluszek. Gdy był już tak blisko, że widać było twarz kobiety prowadzącej auto, zobaczyłem w jej oczach przerażenie. Przystanąłem, żeby sprawdzić, czy pod trawą nie ma jakiegoś rowu i wjechałem na grząskie pole. Widziałem, jak dziewczyna wyraźnie ochłoneła. Jak to mówią, droga na skróty jest dobra, ale nie zawsze prosta.

Zamek w Łagowie jest obiektem hotelowym i właściciel nie udostępnia go zbyt zwiedzającym. Można jedynie za drobną opłatą wdrapać się na wieżę. Ale można też skorzystać z restauracji i zajrzeć na korytarze. Specjalnie nie gonią. Ponieważ robiło się już trochę późno, pojechałem do Dychowa koło Krosna Odrzańskiego. Jest tam elektrownia wodna szczytowo-pompowa. Samochód można zostawić na poboczu i wdrapać się na górę, by zobaczyć kanał doprowadzający wodę. Po pieczętkę trzeba jednak zjechać na dół do pilnującego obiektu wartownika. W Lubsku zrobiłem sobie krótki odpoczynek i wykorzystałem czas na zwiedzenie ratusza oraz kościoła NMP. W ratuszu pieczętka jest na miejscu, ale po potwierdzenie z kościoła trzeba trochę przejść się. Parafia bowiem jest kilka ulic dalej.

I tak oto zakończyłem zdobywanie OKP w stopniu brązowym. Odwiedziłem zgodnie z regulaminem dwa miasta, dwa parki narodowe, 20 zabytków, 10 muzeów i 10 obiektów tzw. innych. Zajęło mi to praktycznie dwa miesiące kalendarzowe, a tak naprawdę 21 dni wycieczkowych. W tym czasie odwiedziłem w sumie 80 obiektów zamieszczonych w kanonie: 80, ponieważ zwiedzanie miasta czy parku narodowego to jest zawsze kilka czy kilkanaście oddzielnych zabytków. Oprócz tego widziałem kilkanaście obiektów, których mimo iż nie są umieszczone w kanonie, nie wypadało ominąć. Same bilety wstępu i parkingów nie kosztowały zbyt wiele, bo niecałe 300 zł, ale przejechałem samochodem 4 tys. km. Muszę dodać, że oprócz tego przeszedłem pieszo około 100 km. Tak więc, aby zdobyć nową odznakę krajoznawczą, trzeba trochę się namęczyć, poświęcić sporo czasu i, niestety, trochę to kosztuje.



**Zamek Książąt Pomorskich w Szczecinie.  
Fot. Krzysztof R. Mazurski**

# Z zielnika Rostafińskiego (19)

## Melon (*Cucumis melo*)

- Twarz śliczną czynią
- Mięsiwość plastrowana na czoło leczy bolejące oczy

## Mespuły, dziś niesplik (*Mespilus germanica*)

- Żeby robaki nie toczyły drzewa, wygarniać je miedzianą stypułką

## Mieczyk (*Gladiolus*)

- Niższa bulwa sprowadza niepłodność
- Położony na głowie wyciąga ości, któreby w gardle utkwily



**Mlecz pospolity**



**Mirt**

## Mirt (*Mirtus communis*)

- Człowiek idący z jego gałązką nie męczy się
- Pierścień z drewna noszony na palcu usmierza wrzody pod paskiem

## Mlecz pospolity (*Sonchus*)

- Ułatwia poród



„Na Szlaku” – miesięcznik turystyczno-krajoznawczy.

Czasopismo Oddziału Wrocławskiego PTTK, odznaczone Złotą Honorową Odznaką PTTK.

Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**

Sekretarz Redakcji: **Andrzej Rumiński**

Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński**

Redakcja techniczna, łamanie i opracowanie graficzne: **Piotr Dacko**

Webmaster i korekta: **Paweł Rumiński**

Stale współpracują: **Henryk Paciej, Juliusz Wyślouch**

Adres Redakcji: Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław, tel. 71 343 03 44

Kontakt pocztą elektroniczną po kliknięciu na nazwisko. ISSN 1230-9931.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej. Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane. Przedruki tylko za podaniem źródła. Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

Redakcja będzie wdzięczna za wpłaty w formie darowizny na dobro czasopisma dokonywane na konto Oddziału Wrocławskiego PTTK:

BZ WBK SA Oddział Wrocław nr 38 1090 1522 0000 0000 5201 9117  
z zaznaczeniem „Na Szlaku”.

Drukowane numery archiwalne (w miarę posiadania) do nabycia w Oddziale Wrocławskim PTTK.

